ONA

dramat w czterech aktach w siedmiu odsłonach wierszem

napisał H. Zaleski

ONA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

W SIEDMIU ODSŁONACH

WIERSZEM

NAPISAŁ

H. ZALESKI

W KRAKOWIE
CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO
1901

NAKŁADEM AUTORA.

OSOBY:

Królowa
Napoleon I
Kościuszko
Dąbrowski
Bartosz
Adam
Piotr
Paweł
Anhelli
Karman
Fried
Borel
Satanos
Mykita
Jan
Anna
Alfons
Pan Józef, jego ojciec
Amelia, żona Alfonsa
Hr. Lolo
Minister wojny
Margrabia
Traugut
Żuliński
Krajewski
Jezierański
Toczyski
Stanisław, dziedzic
Maciej Kołodziej
Hania, jego córka
Postać Archanioła

Wojsko polskie i rosyjskie
Lud, szlachta, mieszczanie i t. d.

AKT PIERWSZY

ODSŁONA I.

(Scena przedstawia cmentarz, dużo mogił i krzyżów. Po prawe świeżo wybrany grób; w ziemi z dołu wysypanej sterczy zatknię tych kilka łopat, obok leży przygotowany krzyż. Po lewej stroni sceny widać słupy graniczne. W głębi droga, za nią wzgórze — a dalej pole, na którem chłopi orzą i sieją. Na widnokręgu wiej ska chata, opodal kościółek drewniany i dzwonica. W chwilę pc podniesieniu kurtyny slychać dzwonienie na „Anioł Pański", chłop odkrywając głowy, klękają na roli, a po odmówieniu pacierza scho dzą z pola. Przed ich odejściem wchodzi z lewej Adam, ubrany po polsku zupełnie czarno, czarny płaszcz zwieszony na ramionach lutnia i laska w jednej ręce, czapka w drugiej. Podczas sceny pierw szej zapada noc; podczas ostatnich słów Adama, w scenie drugie wschodzi księżyc. — Adam wszedłszy, staje, jakby uderzony widokiem cmentarza, następnie odwraca się ku słupom granicznym i chwile dłuższą spogląda w milczeniu w tamtą stronę).

SCENA 1.

ADAM (sam).

ADAM.

Błądzę i błądzę — taki los pielgrzyma —
Z kąta w kąt chodzę bez słowa pociechy
I szukam, szukam mej rodzinnej strzechy
Dotąd napróżno, bo jej nigdzie nie ma.
Gdzie się pojawię — wszędzie obce twarze
I obce dusze, a serca kamienne,

Co krok mogiły, krzyże i cmentarze
Głuche, milczące, ponure a senne
Tym snem okropnym, tym snem nieprzespanym,
Który pieczęcią swą groby zamyka,
Który nad każdym zawisnął kurhanem,
Jak mgła jesienna, co dreszczem przenika,
Co się wyłania z wielkiej mgławic chmury!
(p. k. m.)
Słońce zachodzi, stroi się w purpury —
Ostatnie blaski po tej ziemi sieje —
Za chwilę zgaśnie — jak gasną nadzieje; —
Na polach kończą swą pracę oracze
I pójdą spocząć; — a ja?... ja tułacze
Dziecię bez dachu, gdzież skłonię mą głowę?
Na grzęskiej ziemi świeżych mogilników,
Pośród cmentarnych krzyżów i pomników —
Gdzie się w noc snują widma zagrobowe,
Kiedy wiatr szumnie po drzewach szeleści?
O, życie moje! O! życie boleści —
Zanim w cierpieniu dobiegniesz do końca,
Zanim cię ujmie śmierć w dłoń swą, jak w kleszcze —
Czyliż choć jeden rzucisz promień słońca
W duszę zbolałą? Czyliż ujrzę jeszcze
Choćby zdaleka mą chatę rodzinną
I matkę moją?!...

SCENA 2.

ADAM, SATANOS.

SATANOS
(zjawia się nagle na scenie i podchodzi do Adama):

Na drogę wstąp inną!

ADAM.

Na jaką drogę?

SATANOS (wskazując za kulisy):

Tam! na tę świetlaną,
Na której miękkie dla ludzi kobierce
Na całą długość jak puch rozesłano!
Chodź i wstąp na nią!

ADAM.

A serce?

SATANOS.

Cóż serce?..
Z tą chwilą w piersi twojej skamienieje,
Odtąd mieć będziesz inne w życiu cele,
Inne dążności i inne nadzieje!
Śladem twym pójdzie rozkosz i wesele!
Serce — to źródło doczesnej goryczy —
Wierz mi, że tylko samą gorycz sączy —
Wartoż hołd składać jemu niewolniczy,
Gdy z niem się sama tylko męka łączy
I życie truje? — a męka ta płonie
Srożej czasami, niż łuna piekielna —
Wartoż ci serce nosić w młodem łonie,
Gdy serce boli, jak rana śmiertelna?
Rzuć je, chodź ze mną!

ADAM.

Wskaż mi cel tej drogi!

SATANOS.

Radość i rozkosz, zaszczyty i sława!
Złota ci rzucę wór pełen pod nogi, —
A złoto szczęściem człowieka napawa!
Przez złoto dam ci wszystko, co dać może
Życie na ziemi!

(p. k. m.)

Chodź, ja ci otworzę
Bramę do raju, w którym rozkosz płynie
Szeroką strugą.

ADAM.

Ale to przeminie.

SATANOS.

Ach, ja cię przecie tem rozkosznem śniciem
Długo zabawię! To minie wraz z życiem.

ADAM.

A potem, potem?...

SATANOS.

Nic — próżnia w przestworzu,
W której utoniesz na wieki, jak w morzu!
W tym zasłonecznym świecie twoich wierzeń
Ustaje miara wszelkich czasów mierzeń,
Tam już nic nie ma — bezdenność, pustkowie,
Otchłań, dla której zabrakło przestrzeni!
Myśl ludzka w twojej lęgnąca się głowie
Tego nie pojmie!

ADAM.

Tyleż tam promieni
I gwiazd rozświetla tę otchłań przepastną....

SATANOS.

Ty ją rozświetlasz wyobraźnią własną!
Ty ją poeto zapełniasz gwiazdami
I łudzisz siebie, w swoje wierząc złudy!
Ty ją okraszasz twemi marzeniami —
A tam za grobem, ni potem, ni wprzódy
Nigdy nie było i nigdy nie będzie
Nic, prócz czarności roztoczonej wszędzie!
Możesz zrozumieć: nic! oprócz czarności!!
Powiedz mi teraz, — czy dla tej nicości,
Z której do szczętu wszystkie światła starto,
Dla tej bezedni — warto cierpieć? — warto?!
W wieczystej nocy pozbawionej świtu
Masz rozwiązanie zagadnień i bytu!
Na twojej drodze, mój poeto młody,
Spotykasz łzawe i gorzkie zawody,
Bo życie samo od marzeń odbiega
I z niemi w ciągłej zostaje rozterce —
Dlatego gorycz truje i zalega
To kołaczące w twojej piersi serce!
Taki sam zawód zgotuje ci wieczność,
Jeśli marzeniem popadniesz z nią w sprzeczność.
Ot patrz! ty szukasz już od lat tak wielu
Rodzinnej strzechy i błądzisz bez celu —
Chodzisz — a wielkie tej ziemi koliska,
Szalonym pędem kręcące się w wirze,
Same ci tylko okazują zbliska
Wzgórza mogilne i cmentarne krzyże!

A chata twoja — tu opodal stała,
Tu na tych polach do słońca bielała,
Tu ją maiły drzewa w ruń zieloną!
A potem — ... potem — pożogą czerwoną
Padła zniszczona — a dym się rozpłynął
I w wieczną nicość także się przedostał!
Patrzże dzień jeden, miesiąc, rok przeminął —
Ze zgliszcz już nawet popiół nie pozostał —
Wiatr hulał po nim i miótł znarowiony
Szczątki twej chaty w cztery świata strony!

ADAM (zakrywając twarz, do siebie):

Boże — mój Boże!

SATANOS.

Pożoga ją starła.

ADAM.

Gdzie matka moja?!

SATANOS.

Jeszcze nie umarła,
Ale za chwilę zaświecą jej w oczy
Pogrzebne światła. Oto jej mogiła.
Takim porządkiem zawsze świat się toczy,
Z takim się ziemia od wieków już zżyła.
Gdy człowiek chory ma przedśmiertne dreszcze,
Już z łopatami przychodzą grabarze
Grób mu wykopać, chociaż żyje jeszcze!
Trudno — świat na to, by ludnił cmentarze,
Tu kres człowieka, — tam — otchłanie mgliste
I nicość, nicość.

ADAM.

Panie Jezu Chryste!
(Satanos znika – zjawia się Anhelli).

SCENA 3.

ADAM, ANHELLI.

ANHELLI.

Wspomniałeś imię, przed którem cień znika!

ADAM.

O jakaż straszna boleść mnie przenika!
Matka umiera! moja matka kona,
A ja jej szukam i nie wiem gdzie ona!

ANHELLI.

Ten, który światem rządzi wedle woli –
Zna serce każde, każdą łzę niedoli,
Jakby się zblizka na nie wciąż spozierał!
On znał i boleść Matki Zbawiciela –
A przecież Chrystus na krzyżu umierał
I dotąd codzień w oną śmierć się wciela,
W śmierć Swą męczeńską krwawą i ofiarną!

ADAM.

Tak, tak – tu nawet nad ziemią cmentarną
Widnieją wszędzie te godła Zbawienia!

ANHELLI.

To drogowskazy męstwa i cierpienia!

ADAM.

Patrz — krzyż tu leży na ziemię zwalony —
Pono dla mojej matki nieszczęśliwej!
Przedwcześnie widać grób i krzyż zrobiony,
Boć przecie grzebać nie będą jej żywej!

ANHELLI.

Nie płacz — bądź mężny!

ADAM.

Niech wiem prawdę szczerą
Dla kogo krzyż ten?

ANHELLI.

Zatkną go dopiero!

ADAM.

Jakaś mi postać krakała wyrodna
Te same wieści straszliwej zagadki!

ANHELLI.

Wychyl ten kielich goryczy aż do dna!
Bóg się lituje doli twojej matki
I łzy najświętsze roni nad jej losem!

ADAM.

Niechże Bóg wielki schroni ją przed ciosem
I nas — dla zasług, że byliśmy chrobrzy
W obronie wiary!

ANHELLI.

Nie, to być nie może —

Chodzą po ziemi ludzie źli i dobrzy —
Tacy, co mają przykazania Boże
W sercach wyryte — i tacy bluźnierce,
Którzy od Boga, wziąwszy żywe serce —
Żywe składają szatanom w ofierze!
A jednak danych wolnej woli darów
Bóg i tym nawet nigdy nie odbierze!
On ludzi sądzi wedle ich zamiarów
I wedle czynów, których nie krępuje,
Władzą wszechmocy on im nie przeszkadza,
Bo Bóg obietnic danych dotrzymuje
I słowem Swojem nie zwodzi, nie zdradza!
Gdy raz zostawił człowiekowi wolę,
Na wieki wolną mieć ją w życiu będzie,
Bez względu na to, jaką objął rolę,
I czyli dobro, czy zło ma na względzie!
Stąd widzisz jasno, że kiedy zły człowiek
Zrani ci serce i krzywdę wyrządzi,
Kiedy serdeczne łzy wyciśnie z powiek —
Bóg krzywdziciela czyny Sam osądzi,
Mając w Swem ręku władzy znak widomy —
Nagrodę cierpień i karania gromy!

ADAM.

A zatem — zatem?...

ANHELLI.

Cierp tylko w pokorze
I przykazania w sercu chowaj Boże!
Bóg nie opuści ni matki, ni ciebie —
Każdą łzę waszą w nieszczęściu wylaną
Znajdziecie w onej Bożej księdze w niebie

Złotemi głoski dla was zapisaną!

(czule):

Bracie! bądź mężny! mężny bądź w cierpieniu —
A męstwem twojem wydobędziesz z łona
W kapłaństwa twego wielkiem namaszczeniu
Tę pieśń, co dotąd w tobie jest zamkniona!
Pieśnią z miłości i cierpień wyjętą —
Tą pieśnią wielką w krwawe łzy zaklętą,
Zagrzejesz serca, zaprawisz je w męstwo!
Ty słowem Bożem odniesiesz zwycięstwo —
Tak, jak je odniósł nad pogaństwem ongi
Ów rybak biedny, prosty, nieuczony,
Który swem słowem przez Mistrza natchniony —
Dumnych cezarów powalił posągi!
Pomnij Adamie, żeś jest apostołem
Bożej miłości, co rozświetla noce —
Pomnij, że obaj przez świat pójdziem społem,
Zabliźniać rany, koić łzy sieroce —
Jak dwa promienie w jedno światło zlane,
Jak jedno granie z dwóch tonów związane,
Jak dwie łzy jasne — jednako gorące,
Z jednego źródła boleści płynące,
Jak dwa jednakie słowa modlitewne —
I jak dwa duchy jestestwem pokrewne,
W które się wielka Boża miłość wcieli —
I ją.... ją zbawi!

ADAM (rzucając się w objęcia):

Anhelli! Anhelli!!

SCENA 4.

ADAM, ANHELLI, KARMAN, FRIED i BOREL

(Adam w półobjęciu Anhellego pod drzewem — trzej inni wchodzą z płonącemi pochodniami i głośno się śmieją):

KARMAN.

Ha! dobrze, dobrze — stypa się zaczęła
Wspaniałą ucztą jeszcze przed pogrzebem!

FRIED.

Wprawdzie się z winem ciepła krew spłynęła
I pleśń grobowa zmięszała się z chlebem,
Ale ja bardzo lubię te przyprawy!

KARMAN.

Ileż uciechy przy tem i zabawy!
Ile radości! a ile wesela! —
Ej Friedzie, Friedzie! na imię szatana
Warto cię zawsze mieć za przyjaciela!

BOREL.

Miodowa słodycz płynie z ust Karmana,
Lecz czysta prawda z nich się wydobywa —
Stypa i pogrzeb i grzebana żywa!
Cha... cha... cha....

FRIED.

Jakież to śmieszne, jak to moje imię,
Wynalezione w niebie, albo w Rzymie
(śmieje się):
Ja Fried — więc „pokój" — uważno Borelu!

KARMAN.

Wściekły masz humor miły przyjacielu —
Czyś już zapomniał, że kiedyś przed laty
Czarny krzyż zdobił twoje białe szaty?

FRIED.

Nosiłem, — głupstwo, a świat w głupstwa wierzy,
Ja pod tym znakiem na sukni wyszytym
Nie oszczędzałem ni krwi, ni grabieży!

KARMAN.

Żyjesz, jak żyłeś przemysłem i sprytem.

(Wszyscy się śmieją).

FRIED.

Grabiłem mienie, teraz grabię dusze
I dusz bogactwo przy złocie mieć muszę!
Ona prócz synów ma córy nadobne,
Z lic do aniołów niebiańskich podobne —
Niechże te dziewki, darząc swych kochanków
Gładkością wdzięków i słodką rozkoszą,
Jakiej znamiona w licach swoich noszą, —
Zamiast aniołków narodzą szatanków!

(Wszyscy się śmieją).

KARMAN.

Jakże to zrobisz?

FRIED.

Zrobić wszystko łatwo!
Moim żołnierzom dam za każdą dziewką
Posag w gotówce — sto bitych talarów

I na pierzynę wór pierza z poszewką —
Niech mi zaludnią kraj szatańską dziatwą,
Uznając dobroć i hojność mych darów!

(Sam się śmieje).

BOREL.

Geniusz prawdziwy przez oczy ci świeci,
Jakby w twej duszy zapalil gromnice!
Pomysł wyborny! Gdy szatańskie dzieci
Na ziemi rodzić będą anielice —
Niebo się z gniewu zatrzęsie złowrogo!

FRIED.

W niebie nic na to poradzić nie mogą —
Mam wolną wolę i do mnie należy
Z tego korzystać.

KARMAN.

Nikt mi nie uwierzy,
Jaki mi pomysł twe słowa przynoszą,
I jaką także darzą mnie rozkoszą!
Tam na północy mam ja kraj daleki,
Wielki, bezmierny ale bezsłoneczny; —
Wieczyste lody zakuły tam rzeki
I śnieg go biały pokrywa odwieczny!
Kraj skamieniały, lodowy i śnieżny —
Niewiast w nim wiele, czekających zdawna
Na uścisk miły, czuły i lubieżny.
Ale ta ziemia, choć wielka i sławna
Pusta do teraz i niezaludniona, —
Tamto jej synów wyszlę ze szczodroty,
By ich przyjęły niewiasty w ramiona

I nie skąpiły gorącej pieszczoty!
Niech idą w lody i śniegi pustynne,
Gdzie chmur i nocy wieczne wiszą cienie —
Tam są szatanki i hoże i zwinne —
A przy nich łatwo pójdzie zaludnienie!
Ot widzisz Friedzie w odwrotnym stosunku
Twoje pomysły przyswoiłem sobie!

BOREL.

Piekłu na radość, niebu dla frasunku!

(Śmieją się).

FRIED.

Bo ja co zrobię, zawsze dobrze zrobię!

KARMAN.

Jesteś szatanem i służysz nam dzielnie!
Jakże Borelu — nieprawdaż? — jak sądzisz?

BOREL.

A doskonale, wiernie i rzetelnie —

(wskazując niebo):

Ty krzywd najwięcej Jemu sam wyrządzisz!

FRIED.

Nikt mnie w tej mierze nie zrani oszczerstwem.

BOREL.

Jak ongi znak twój, czarny krzyż na szacie
Był jednem więcej dla nieba bluźnierstwem,
Tak też i teraz bluźnierstwem, mój bracie,
Dyszą zamiary nasze z obowiązku!

KARMAN.

To tło przyjaźni i naszego związku!

BOREL (zacierając ręce):

Bluźnić! Bluźnierstwo jest teraz na czasie!
Mądry ten szatan, który miewa zawsze
Przygotowane bluźnierstwa w zapasie!

FRIED.

Dla takich piekło zawsze jest łaskawsze!

BOREL.

Ja mam w zapasie łzy żalu rozpaczne —
Ot tu usiędę przy wybranym grobie
I zaraz na głos po niej płakać zacznę.
Łzy oddam niebu, śmiech zostawię sobie
A ludzie płacz mój, gdy tu wnet zasłyszą,
Litość uczują dla mojej litości, —
Historjozofi moje łzy opiszą,
Przekażą o nich pamięć potomności!

(Wybucha śmiechem - inni wtórują).

KARMAN.

Po tych wylanych łzach na jej pogrzebie,
Gotowa jeszcze potomność czcić ciebie!

FRIED.

I to wyborne! Żart na bok, panowie,
Przyznać należy, że każdy z nas spełnia
Ściśle swe czyny. Gdy piekieł posłowie
Jeden drugiego w dziele uzupełnia —
Dzieło być musi uwieńczone skutkiem!

KARMAN.

O, patrz, już Borel twarz obleka smutkiem,
Już w jego oku łza zabłysła rzęsna!

BOREL (płacząc):

O biedna moja! biedna i nieszczęsna —
Tyś mnie niedawno miłosierdziem wsparła —
A ja cię grzebać muszę w tej mogile,
Chociaż tyś nawet jeszcze nie umarła!

KARMAN.

Ha! doskonały! (śmieje się).

FRIED (śmiejąc się):

Istne krotochwile!

KARMAN.

Takich pogrzebów, świat odkąd istnieje,
Nie widział jeszcze.

FRIED.

Każdy z nas się śmieje
A dla odmiany Borel w głos zawodzi!

KARMAN (poważniej):

Co to ma znaczyć, kondukt nie nadchodzi.

FRIED.

Dziwne w istocie!

BORYL (zaczyna płakać na nowo).

FRIED (niecierpliwie):

Przestańże już szlochać!

BOREL.

Muszę, bo kocham — jakże jej nie kochać —
Królowa dobra, łaskawa, wspaniała!

SCENA 5.

(Ukazują się żołnierze, zataczający armaty na wzgórze):

KARMAN.

Ha! co ja widzę — zataczają działa!
(p. k. m.)
Tam się coś przecie z nimi stać musiało!

SCENA 6.

(Żołnierze z gotowymi lontami stoją przy lawetach — na scenę wchodzi Mykita).

CIŻ i MYKITA.

MYKITA.

Ha! ha — do czorta — o mało, o mało
I jużby było po tej naszej stypie,
Na której tyle krwi się człek ochlipie!

KARMAN i BOREL.

Co?!

FRIED.

Co się stało?

MYKITA.

Z ogromną potęgą
Ruszyła na nas. Wprawdzie nie bagnetem
Ale praw nowych broniła się księgą!

FRIED.

Byłeś powinien pchnąć w serce sztyletem!

MYKITA.

Darmo, — bo w owe zapisała karty
Zakon miłości niezmyty, niestarty, —
Że wszystkich synów społem uposaża
I wszystkich razem za równych uważa!

FRIED.

To i cóż z tego? Gdy sztylet się wwierci
W drgające serce — nie uszłaby śmierci!

MYKITA.

Łatwo powiedzieć, a to inna sprawa —
Za taką księgą cały ród jej stawa —
A wtedy — wiesz ty, coby nas czekało?
Śmierć i zagłada! Nicby nie zostało,
Nic, nawet tyle, co po przejściu burzy,
Która dmie ogniem i gromem zniszczenia,
Kiedy się niebo karzące nachmurzy!
O! była chwila ciężka bez wątpienia —
To tylko szczęście, że syn pierworodny,
Najstarszy z rodu, strojny panicz modny,
Przysiągłszy matce na słowa zakonu,
Wyparł się potem złożonej przysięgi!
To całe szczęście, bo już wyrok zgonu

Był nam wpisany na kartach tej księgi!
Gdy się to stało, okuto jej dłonie, —
Ruszamy w pochód, ona w naszem gronie —
A w tem wypada drugi syn szalony,
Poczyna braciom dziwne pleść androny,
I kiedy nie mógł wykrzesać z nich ducha —
Widząc, że mało który go już słucha —
Runął pod drzwiami w wielkiej widzów kupie
Z jękiem i krzykiem: „Chyba po mym trupie"!
Trzeba się bylo uporać z przeszkodą.

FRIED.

Idą, już idą — i ją także wiodą!

KARMAN.

A jaka smutna!

BOREL (udając płacz):

Biedna moja smutna!

ADAM.

Ach! Ach!! Anhelli — jaka czerń okrutna!

ANHELLI (tuląc go):

Mężny — bądź mężny!

SCENA 7.

(Tłum żołnierzy, pomiędzy którymi widać Polaków, prowadzi przy blasku pochodni królowę ze związanemi rękami do otwartego grobu).

ADAM (biegnąc ku niej):

Matko! Matko moja!!

KRÓLOWA.

Synu! Sieroto!

FRIED.

Tu mogiła twoja!

KARMAN.

Wstępuj, a prędko! (wtrąca ją do dołu)

BOREL (do Polaków — płacząc):

Nie palcie gromnicy,
Pochodnie płoną.

ADAM
(wyszedłszy z osłupienia — rzuca się naprzód):

Precz od niej nędznicy!
Precz! bo wam serca z wnętrzności wyszarpię

KARMAN.

Skuć go w kajdany!

(Żołnierze rozkaz wypelniają — ogień w dali).

FRiED.

Patrzcie, tam na szkarpie
Jakiś się ogień, niby łuna, świeci!

(Gęste strzały karabinowe — z armat, na wzgórzu zatoczonych, również strzelają — Królowa z grobu się podnosi).

KARMAN.

Bitwa! źle z nami, pewnie nas pobiją.

SCENA 8.

Ukazuje się KOŚCIUSZKO i CHŁOPI.

ADAM.

Boże! obrońce!

KOŚCIUSZKO (wskazując na armaty):

Weźcie mi to dzieci!

KRÓLOWA (wyciągając ręce ku chłopom):

Ach, dzieci moje!

BARTOSZ
(który spozierał na armaty i przeciągle na Królową po tym jej okrzyku):

O, Jezus Maryjo!

(Chwila mająca przedstawić bitwę racławicką, potem gdy chłop z armatami zeszli ze wzgórza — wchodzą posiłki dla nieprzyjaciół wzmagają się gęste strzały, wojsko polskie się cofa, wśród czego Kościuszko postępuje naprzód i pada skluty dzidami kozaków. — Druga część bitwy przedstawia Maciejowice. — Gdy Kościuszko pada, Karman królową spycha do grobu, żołnierze łopatami grób zasypują. Polacy, którzy byli między nimi zapalają świece).

FRIED (w odpowiedniej chwili):

Hura! zwycięstwo!

ADAM (w odpowiedniej chwili):

Męczeństwo! Męczeństwo!
Boże, co widzę, pada lud orężny —
I wódz, wódz także (zakrywa oczy).

ANHELLI.

Adamie, bądź mężny!

ADAM

(do Karmana, Frieda i Borela, zasypujących mogiłę, podczas czego wojsko ustępuje, zabierając ze sobą Kościuszkę).

W imieniu Boga rzucam wam przekleństwo!
Wam, czarne z piekieł wyrzucone duchy!
Dłonie związały mi kajdan łańcuchy —
Nie mogę niemi drogiej matki bronić!
Bronią przekleństwo dla was pozostanie
I łzy boleści, które będą ronić!

ANHELLI (uroczyście):

Zanim Bóg z nieba zeszle zmartwychwstanie!

(Wyprowadza płaczącego Adama).

FRIED.

Hura! Zwycięstwo po naszej jest stronie!

KARMAN.

I stypa będzie!

BOREL (z udanem westchnieniem):

I... finis Poloniae!!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

ODSŁONA II.

(Scena przedstawia sypialnię Napoleona I. Po lewej bokiem ustawione łóżko z bardzo niskim przyczółkiem, kotara nad nim tak udrapowana, aby można widzieć Napoleona na łóżku śpiącego. Po prawej kominek, nad nim wysokie lustro, w głębi biuro zarzucone papierami. Biuro powinno być ustawione pod ścianą tak urządzoną, aby na dany znak Satanosa mogła się nagle otworzyć. Za tą ścianą sala tronowa – obicie szkarłatne w złote kwiaty, stopnie z białego marmuru, kotara z wierzchu purpurowa, narzucona złotemi gwiazdami, wewnątrz fioletowa, wewnątrz wyszyty orzeł francuski i insignia cesarskie. Kotara udrapowana na dwóch słupach złotych, których szczyty stanowią wieńce, a na nich orły. Baldachim krągły ma kształt korony, ozdobionej na górze rycerskim szyszakiem. W obwodzie baldachimu i na szczycie szyszaka strusie pióra; pod baldachimem fotel z okrągłem oparciem wybity szkarłatną materyą bogato złotem przerabianą – przed fotelem na stopniach poduszka z fioletowego aksamitu w złote gwiazdy. – Na scenie ciemno. Napoleon spi. W sali tronowej bardzo dużo światła, tak, że gdy na znak Satanosa kotara się rozsunie, scena ma być dobrze oświetlona).

SCENA 1.

NAPOLEON (śpiący) i ANHELLI.

(W chwilę po podniesieniu kurtyny zjawia się Anhelli przy łożu Napoleona).

ANHELLI (po dłuższem milczeniu):

Napoleonie!... (p. k. m.)
Widać nie przeczuwa
Mej obecności przy wezglowiu łoża!

NAPOLEON
(obudziwszy się, opiera się na łokciu):

Co to!...
Z ciemności gwiazda się wysuwa
I świeci w duszy, jak poranna zorza,
Gdy się jej światło na powierzchni fali
W zwierciedle morskiem jaskrawo zapali
I mknie w przestrzeni bez żagli i wioseł!
Ktoś tu wszedł do mnie!

ANHELLI.

Wszedł królewski poseł.

NAPOLEON.

Królewski poseł?!
Z której świata strony,
I od którego przybywasz mocarza?

ANHELLI.

Król mój, choć królem — nie nosi korony,
Lecz rządzi światem i sam światy stwarza,
Gwiazdy zapala i gwiazdy rozprasza!

NAPOLEON.

Tak, — coś słyszałem o Nim, lecz to dawniej,
Gdy żyłem cicho w izdebce poddasza,
Nie wiedząc jeszcze, że mogę żyć sławniej
Od najsławniejszych śmiertelników z tłumu!

ANHELLI.

Teraz się wzniosłeś.

NAPOLEON.

Wzniosłem się bezsprzecznie
Potęgą woli i siłą rozumu!

ANHELLI.

Pycha tkwi w tobie — a to niebezpiecznie; —
Raczej się ukorz przed tym majestatem,
Który od wieków rządzi całym światem —
I nie odmawiaj mu hołdów powinnych,
Że ciebie wybrał z pośród tylu innych!
Ukorz się myślą, duszą, sercem całem!
Rozum i wola, choć są twym udziałem,
Nie z ciebie wyszły, — tyś ich we władanie
Własnym popędem nie objął na ziemi —
Masz je nie z siebie; więc nie chełp się niemi!
Kiedyś — gdy zejdzie wieczności zaranie,
Złożysz rachunek z otrzymanych darów,
Ze wszystkich czynów, myśli i zamiarów!
A gdy ci pycha, owa pycha pusta —
Która w tej chwili twoją duszą miota —
Zaleje serce po brzegi i usta —
Ty, nim się zbliżysz do kresu żywota,
By dług konieczny doczesności spłacić,
Możesz te dary na wieki utracić.

NAPOLEON.

Dziwne, że w życiu człowiek czasem miewa
Chwile szczęśliwe — lub się ich spodziewa;
Dziwne, że sercem wstrząsają i burze,
Kiedy w człowieka losach, jak w marmurze
Jest niezawodnie głęboko wyryte
Przeszłe i przyszłe curriculum vitae!

ANHELLI.

Przeznaczeń drogę każdy sam wybiera
I wedle woli żyje i umiera!

NAPOLEON.

Śmierć to zagadka.

ANHELLI.

Nie wszystkim tajemna.

NAPOLEON.

Jak dla mnie zawsze i przykra i ciemna,
Chociaż najczęściej bywam bardzo hardy,
Nie mając dla niej nic oprócz pogardy!
A życie samo zda mi się być walką
Dla pewnych własnych dążności podjętą,
Myśl dla swych celów staje się westalką,
Która w tej służbie nie może być świętą....

ANHELLI.

Jeżeli nie chce we własnej dążności
Połączyć także celów Opatrzności
I z nią w swym biegu postępować zgodnie.

(Ujmując go za rękę):

Bóg gwiazdy czasem zapala przewodnie,
Światłością darząc wybrane Swe dusze!
Tacy wybrańce, to są geniusze!
Lecz tym niewolno pod żadnym pozorem
Wobec przeznaczeń Bożych stać oporem,
Lub się dla własnych rentownych udziałów
Wyrzec spełnienia Bożych ideałów!

NAPOLEON.

Czyliż ja także w tych wybrańców rzędzie
Mam miejsce moje?

ANHELLI.

Jedno z miejsc najpierwszych. —
Bóg wszystkie cele wskazywać ci będzie
Od najdrobniejszych aż do tych najszerszych,
Obejmujących waszą ludzkość całą!
Jesteś oraczem na tej świętej roli,
Bogu się w tobie mieć upodobało
Narzędzie własnej dążności i woli!
Masz sprawiedliwość podźwignąć strąconą
I odbudować jej wzniosłą świątynię,
Szatana dłonią na ziemi zburzoną!
Spojrz tam na północ! Widzisz — naród ginie,
Widzisz te łuny, świecące czerwono?
Tam ją w mogile zasypano żywą,
A czarne kruki wciąż szarpią jej łono!
Widzisz jej dziatwę biedną, nieszczęśliwą,
Jak drze rozpacznie krępujące pęta —
Widzisz jej synów, jak w świat biegną tłumnie,
Jak wypłoszone z gniazd swoich orlęta,
Z rozpaczą w sercu, kiedy matka w trumnie!
Tam twoja droga, twój cel pełen chwały,
Tam idź nasamprzód wielki mężu Boży,
Sprawiedliwości spełnić ideały!
Masz dar potęgi, która świat zatrwoży! —
Kiedy zaszumią orły chorągwiane
Nad tą nieszczęsną ziemią krwi, pożogi,
Promienie gwiazdy wskażą ci świetlane,
Na jakie potem wstąpić musisz drogi,

By świat od złego na zawsze zachować
I spełnić dzieło podobne do cudów. —
Masz zburzyć trony; z ich gruzów zbudować
Równość i wolność, i braterstwo ludów, —
Ludom do szczęścia wskazać proste drogi,
Niszcząc w pochodzie bałwochwalstwa bogi,
Bo to jest twoje na ziemi zadanie!

SCENA 2.

NAPOLEON, ANHELLI i SATANOS.

SATANOS
(który od dłuższego czasu przysłuchiwał się słowom Anhellego):

O! takie, takie najjaśniejszy panie!

NAPOLEON.

Co? — Najjaśniejszy?!

SATANOS.

Tak wielki konsulu,
Wielki cesarzu, albo wielki królu —
Możesz wybierać tytuły do woli!
Tyś geniuszem, w każdej zatem roli
Musisz brylować! Gdy twa gwiazda plonie
Światłem tak jasnem; — pytam się, dlaczego
Nie masz korony włożyć na twe skronie.
(Wydobywa z pod płaszcza berło i koronę):
Przyjrzyj się tylko!...
Czyż nie chciałbyś tego,
By cię świat ujrzał w koronie znienacka
I z berłem w ręce?!

NAPOLEON

(po krótkiem wahaniu wyciąga ręce i bierze berło i koronę z rąk Satanosa).

ANHELLI.

O, porzuć te cacka —
Nie w tej ozdobie twoja nieśmiertelność!

SATANOS.

Tyś wielki! W tobie potęga i dzielność —
Przy niej twa przyszłość jasna i przejrzysta —
Głupi, kto z darów takich nie korzysta,
Kto nie chce wznieść się aż do tych zenitów,
Gdzie własną dłonią swą gwiazdę zapala
Przez osiągnięcie najwyższych zaszczytów!

(odsłania kotarę):

Racz spojrzeć tylko — ot tronowa sala —
Tron i baldachim, złoto i purpura,
Złotych gwiazd krocie, orły, strusie pióra —
To wszystko twoje; — ja ci niosę w darze —
Czyliż odrzucisz tak wspaniałe dary,
Których zazdrościć będą ci mocarze?
Nie przyjmiesz mego serca i ofiary?!

ANHELLI.

To nie dla ciebie! — Pomnij na me słowa!

SATANOS.

Czytam w twej duszy, jak w otwartej księdze —
Wiem, że w swą wielkość wierzysz i to święcie;
Ale nie ufasz sam swojej potędze
I chcesz ją znaleźć w wieczności odmęcie,

Kędy niesiona monada duchowa
Niknie w przestrzeni bezświetlnej czarnoty!
(śmieje się):
Podziwiam zawsze wierzenia prostoty
W ten byt szczęśliwy, w ten byt zagrobowy —
A tam!... nic nie ma!
Kiedy w grunt jałowy
Ciało twe złożą, ono w swej zgniliźnie
Garść suchej ziemi nad sobą użyźni —
I ty — mąż wielki, pełen ziemskiej sławy, —
Przeszczepisz byt twój — w byt kwiatu lub trawy.
Jakież to śmieszne! Ach! śmiej się serdecznie!
(śmieje się):

ANHELLI.

Nie wierz mu, nie wierz! — Jest istota ducha
W każdym człowieku! Ona żyje wiecznie!

SATANOS.

Rozpętaj więzy ciasnego łańcucha,
Który się u mnie zwie pospolitością —
Licz a dokładnie, jak liczyłeś nieraz,
Nie na to, co jest — poza doczesnością,
Lecz na to, co masz, co mieć możesz teraz!
Światem doczesnym samolubstwo rządzi,
Egoizm silny, słabszy zwalczać musi —
Każdy, — kto tylko walkę zwraca w siebie
I o zdobycie wielkich cnót się kusi,
Sądząc, że będzie miał nagrodę w niebie —
Przeciw swym własnym losom strasznie błądzi!
Bo się w pochodzie wyprzedzać pozwala,
Zwalczając siebie zamiast przeciwnika —

I kiedy tamten przeszkody rozwala,
Ten sam je spiętrza i drogę zamyka!
O! wierz mi, walka, co rozdziera wnętrze
Własnego serca, — własną niszczy wiarę,
Wskazując cele jakieś wyższe, świętsze,
Jak senną z mgławic wydmuchaną marę!
Patrz! Europy karta jest na stole —
Weź pióro w rękę i przerób ją całą —
Weź! — Nie chcesz?... Czemu?

Cóż to, twoją wolę
W tym wielkim czynie krępowaćby miało?
Nic więcej, tylko brak wiary w swe własne
Siły potężne! — Wiara wstąpi w ciebie
Wówczas, gdy rzucisz skrupuły zbyt ciasne
I nie przestając na zwyczajnym chlebie,
Jaki ci los sam przyniesie i poda —
Włożysz koronę!

NAPOLEON.

Włożę — dobrze! zgoda!
(wkłada koronę).

ANHELLI.

Zrzuć z czoła obręcz z kamieni i złota —
Tego Bóg nie chce!!

NAPOLEON.

A ja zrzucić nie chcę!

SATANOS.

Wielka się w tobie odezwała cnota.

ANHELLI.

Szatan twą pychę podnieca i łechce.

SATANOS.

Masz duszę tęgą i jak żołnierz dziarską!

NAPOLEON.

Skroń ozdobiłem koroną cesarską —
Uczułem — prawda — że we mnie moc żyje
I coraz śmielsze roznieca nadzieje!
W rękę miecz wezmę i ostrzem wyryję
W dziejach ludzkości własne moje dzieje!
W tę nieśmiertelność wiedzie moja droga,
Wszyscy mnie będą uznawać....

ANHELLI.

Prócz Boga!

NAPOLEON.

Zbrojne me ramię cały świat ogarnie,
Żyć będę świetnie!

ANHELLI.

Ale zginiesz marnie!

NAPOLEON.

Pójdę na północ!

SATANOS.

O! idź tam! idź spiesznie!
Leć wielki orle, zabaw się uciesznie!
Ale — pamiętaj, że jest tam grób świeży,

I ona w grobie — jak każdy trup leży,
Którego usta, mózg, serce i oczy
Robactwo żrące już zgnilizną toczy!
Ty tego grobu nie tykaj w postoju, —
Kto w nim spoczywa, niechaj spi w pokoju!

NAPOLEON.

Nie moją rzeczą wskrzeszać zmarłe ciała!

SATANOS.

Ty idź tam dalej — tam cię czeka chwała!
Tam dzielni twoi i zbrojni żołnierze
Spać będą w miękkim, rozesłanym puchu,
Na białem łożu! — Takie dla nich leże
Jam przygotował! Chodź mój mocny duchu,
Wielki cesarzu! Tam skarby niezmierne
I ty sam weźmiesz i twe wojsko wierne!
Kroku nie zrobisz wśród tego pochodu,
Byście brylantów nie mieli świecących
I białych pereł!

ANHELLI (odchodząc):

Tak, brylantów... z lodu!

SATANOS.

Chodź tam! nie marnuj chwil upływających
W przeszłość otchłanną!

Chodź, bo z tej wyprawy
Prócz niezmiernego bogactwa i sławy
Rozszerzysz świetne twoje panowanie!
Weźmiesz nagrodę za tę drogę żmudną, —

Biegiem wypadków weźmiesz we władanie
Nawet i wyspę.... daleką.... odludną!....
Chodź, bo popadniesz we wzgardę.... ohydę....
Chodź bohaterze!

NAPOLEON.

Już idę! już idę!!

ZASŁONA SPADA.

ODSŁONA III.

(Scena przedstawia cmentarz jak w pierwszej odsłonie. Z podniesieniem kurtyny widać armię Napoleońską, przechodzącą przy odgłosie bębnów z lewej strony na prawą. Pochód wojska trwa aż do wyjścia Napoleona. Po wyjściu zaczyna padać śnieg).

SCENA 1.

SATANOS — NAPOLEON.

SATANOS
(stoi przy mogile, spoglądając na armię).

NAPOLEON
(wchodzi otoczony sztabem — zbliżając się sam do mogiły)

Tu zatem grób jej?

SATANOS.

Tu, mój władco świata.

NAPOLEON (p. k. m.):

Z mogiły zda się, że jej duch ulata
I skargę wznosi pełną łez i jęku!

SATANOS.

Duch twój już słabnie, najjaśniejszy panie,
Popadł w uczucie, podobne do lęku!

Ona umarła i nie zmartwychwstanie,
Bo kto raz umrze, ten zgnić tylko może!
Darmobyś trudzil ręce przy robocie,
Gdybyś mogiły chciał rozgrzebać łoże —
Tam trup spoczywa w zgniliźnie, jak w błocie,
Które cielesne wydzieliły szczątki!
Czegóżbyś szukać miał w tym dole czarnym,
Czy światła blasku, czy jakiej pamiątki
Po tym postoju pod krzyżem cmentarnym?!
I cóż nareszcie przyszłoby ci z tego,
Gdybyś uczuciom ulegając smętnym,
Wydobył trupa zupełnie zgniłego
I napasł oczy tym widokiem wstrętnym?!
O! patrz na armię, na nią zwróć twe oczy,
Zalewa pola od brzegu do brzegu —
Idzie i idzie, niby rzeka w biegu,
Która ku morzu wody swoje toczy,
Aby swą falą wzdymać morza fale!
Spojrz na tę armię, która zawsze chadza,
Jak w słońca blasku w zwycięskiej swej chwale!
Tam twoja droga i tam twoja władza,
Wiodąca prosto do przeznaczeń celu!

(p. k. m.):

Napoleonie!... Takich jest nie wielu,
Jak ty, na ziemi, choć korony noszą!

SCENA 2.

(Wchodzą polscy oficerowie. Jenerał Dąbrowski wiedzie przed Napoleona kilku szlachty).

DĄBROWSKI.

To bracia nasi, najjaśniejszy panie,
Chleb i sól w darze dla ciebie przynoszą.

PIOTR.

Dla ciebie naszej wolności zaranie!

PAWEŁ.

Przyjmij dar od nas, — nie srebrny, nie złoty —
Ubogi może, lecz pełen prostoty
Jak życie nasze! Przodków obyczajem
Z chlebem i serca ci nasze oddajem!
A kiedy tobie, zdobywcy pół świata,
Droga przez naszą ziemicę wypada, —
Przyjmij te dary, czem chata bogata
Wielki cesarzu, tem będzie ci rada!

NAPOLEON.

Dziękuję panom za gościnność miłą.

(Podczas następnego przemówienia, szlachta i oficerowie polscy rękami odgrzebują część mogiły):

PAWEŁ.

O! spojrz cesarzu, stoisz nad mogiłą,
Zamykającą serc naszych kochanie!
Pomóż nam kurhan rozgrzebać w całości
O pomóż! pomóż!! najjaśniejszy panie —
A to do wdzięcznej przejdzie potomności!!
Pamięć dla ciebie i wdzięczność dla ciebie
Przez długie wieki świecić będą jasno
I wtedy zgasną, gdy gwiazdy zagasną,
Aby już więcej nie świecić na niebie!
O! najjaśniejszy, panie dobrotliwy —
Bóg nam dał wszelkie na ziemi dostatki,
Lecz wróg tu przyszedł i w sposób straszliwy
Zagrzebał ciało żywej naszej matki!

Odtąd nam chmury pokryły niebiosy
I już nie widać słonecznych promieni,
A gdy sierp puścim na te złote kłosy,
Krew się za ostrzem sierpowym czerwieni!
Dawniej nad nami niebo rozchylone, —
Niby kopuła nad kościelnym stropem —
Płonęło blaskiem całe rozjaśnione,
Siejąc promienie takim wielkim snopem,
Jak gdyby wszystkie z całej Polski kłosy,
Zeszły się w słońcu, by złocić niebiosy!
A dziś.... dziś chmury wiatr żenie i żenie,
I słońce nasze w tych chmurach się skryło,
Jakby ze wstydu, — jakby się wstydziło,
Że własne swoje straciło promienie!
Dawniej, gdy zeszły już wieczorne zorze,
Na niebie jasne gwiazdy nam świeciły,
Niby okienka na niebieskim dworze
I w krzewach swojskie ptaszęta kwiliły! —
A teraz.... wichry liście z drzewa spasły,
Gniazda ptaszętom zmiotła zawierucha,
Śpiewy umilkły i gwiazdy zagasły —
Każda noc taka i ciemna, i głucha,
Że człek się modląc, woła: Panie! Panie!
Kiedyż nadejdzie twoich zórz świtanie!?

(klęka):

Wielki cesarzu! my ci krew oddamy,
Bądź krwi tej naszej władcą i szafarzem!
Ród nasz wojenny, z bojem my się znamy,
My ciebie naszym okrzykniem cesarzem
I pójdziem z tobą, choćby na kraj świata,
Jako huragan, który dęby wali
I ponad ziemię z łoskotem przelata!!

Ale nam pomóż, byśmy tu nie stali
Z dłońmi skutemi przy matki mogile!
Wielki ty jesteś w potędze i sile —
Wrogów słów samych przerażasz już grzmotem,
Pomóż nam, pomóż!!

NAPOLEON.

Pomogę z powrotem!

(Szlachta w osłupieniu. Sygnał wojskowy na trąbce. Napoleon wychodzi ze sztabem).

PIOTR.

Nadzieje nasze! — Nadzieje, pragnienia
W dym się rozwiały!

PAWEŁ.

Złudzenia!... Złudzenia!...

DĄBROWSKI.

Cesarz do Moskwy z swem wojskiem odchodzi,
Cesarz jegomość, gdy przyrzekł, dotrzyma.

PIOTR.

We mnie do niego nie ma wiary, nie ma!

DĄBROWSKI.

Wierz, albo nie wierz, lecz on nas nie zwodzi

(Szlachta pomału się rozchodzi, scena się opróżnia zwolna, z poz: drzewa ukazuje się Satanos, stoi przez chwilę z założonemi n: piersiach rękami, patrząc w tę stronę, w którą poszedł Napoleor za armią i wybucha serdecznym śmiechem, na co zjawiają si‹ Karman, Borel i Fried).

SCENA 3.

SATANOS, KARMAN, FRIED, BOREL.

SATANOS.

Udało mi się! Monarsze Francuzów
Zwyczajna królów doczesność obrzydła!

KARMAN.

Rozpostarł pychy szerokiej swej skrzydła
I poszedł szukać szczęścia.

FRIED.

Albo guzów!

KARMAN.

Dobrze się stało, że go wasza miłość
Od rozgrzebania mogiły wstrzymała!

BOREL.

Byłaby nowa powstała zawiłość.

FRIED.

Ba, jeszcze jaka! Ona, gdyby wstała —
To ród jej cały tak obyty w wojnie,
Byłby krew własną przelewał dłań hojnie —
I byłby znowu nad nami zaciężył.

KARMAN.

O, byłby, byłby pewnie nas zwyciężył.

SATANOS.

Ah! ja widziałem! — Jeden szlachcic gadał
Do jegomości cesarza ze łzami,
A do mogiły cały tłum przypadał,
Zdzierając ziemię ubitą rękami!
To w pierwszym rzędzie naprawić należy.

(Karman, Fried i Borel naprawiają kurhan).

SATANOS (po chwili):

Ha — w tym człowieku wielka siła leży!
Gdym mu pokusę podsuwał tronową,
Byłem w obawie, czy mi skusić da się —
I pracowałem i duchem, i głową,
Mając dowody rozliczne w zapasie.
Ale zastałem w duszy bohatera
Już kielkujące ludzkiej pychy ziarno —
Patrzę, a on się w koronę ubiera,
Serce w nim rośnie, chociaż w duszy czarno!
Roztoczył potem, jak paw, lśniące pióra
I rzucił niebu brutalne wyzwania —
A nad nim.... czarna zjawiła się chmura,
Ta, która zgasi blaski panowania
I w łzy zamieni brylanty w koronie!

KARMAN (wskazując):

Co to za łuna?

SATANOS (oglądając się — od niechcenia):

Nic, — to Moskwa płonie!

(dłuższa chwila milczenia):

Łuny blednieją!... a my — myślmy o tem,
Co mamy zrobić na teraz, na potem,

(przysłaniając oczy, jakby się w dal wpatrywał):
Bo widzę przyszłość.... wszystkie przyszłe dzieje....
Miecz w ręku synów naszej zagrzebanej
Jeszcze nie pęknie i nie zardzewieje....
Wojna przed nami.... dużo krwi rozlanej....

KARMAN (po chwili):

A potem?... potem!?

SATANOS.

Znowu krwi kałuże....
I znowu wojna!... Czekajcie... na górze....
Ha!!!

(Przerażenie).

FRIED.

Tak wasza miłość krzyknęła dziwacznie.

SATANOS.

Odejdźcie prędko — i niech każdy zacznie
Na czas się zbroić! Słyszę szczęk oręża,
Rewolucyjne już wyczuwam dreszcze —
Ród jej powstaje i siły wytęża —
Synowie w sercach mają miłość jeszcze
I ona żyje — niestety, lecz żyje!

(Karman, Fried i Borel odchodzą. — Po dłuższej chwili ukazuje się powracający Napoleon).

SCENA 4.

SATANOS i NAPOLEON (bardzo zgnębiony).

NAPOLEON.

Hańba! o hańba! czemże ja ją zmyję?

SATANOS.

Upadkiem zwiększysz najjaśniejszy panie!

NAPOLEON.

Jakto przeklęty!? — zwodziłeś nikczemnie!?

SATANOS.

A tak, zwodziłem, — bo to me zadanie —
I tego piekło żądało odemnie.

NAPOLEON.

Piekło cię do mnie wysłało na zgubę?

SATANOS.

Tak, — abym zrobił mały eksperyment
Ze słabym duchem, małą tylko próbę —

NAPOLEON.

A jam szalony w twój wierzył sentyment!

SATANOS.

I dobrześ zrobił — ja cię kocham szczerze,
Wierzaj cesarzu.

NAPOLEON.

Zapóźno nie wierzę!
O! armia moja!!

SATANOS.

Stopniała do szczętu
Prawda? — co prawda? — Ja przepowiadałem,
Że tam twa zguba wśród tego odmętu!

NAPOLEON.

Kłamstwo! ja przecie dokładnie słyszałem!

SATANOS.

No, no, bez gniewu, najjaśniejszy panie —
Ach, ja pamiętam dokładnie myśl własną —
Ja powiedziałem, że tam jest posłanie
Z białego puchu; że twoi żołnierze
Tam się położą wygodnie — i zasną,
Bo to jest dla nich zgotowane leże.
Może nieprawda? — może nie posnęli?...
Tylko ich zbudzić nie zdoła surm granie!

NAPOLEON (z boleścią):

Gdzież moja sława?

SATANOS.

Już ją dyabli wzięli —
Zwykłe koleje, najjaśniejszy panie —
Człowiek nie żyje nigdy bez zawodu!

NAPOLEON.

Gdzie skarby moje? gdzie dostatek wszelki?
I moje szczęście?

SATANOS.

Ach, tyś nie był wielki
Napoleonie — tyś był bardzo mały. —

NAPOLEON.

Obiecywałeś mi drogie kamienie,
Perly, brylanty....

SATANOS.

Tak, — brylanty z lodu —
Mało ich miałeś?! — Prawda, gdy promienie
Padną słoneczne w lodowe kryształy
To one chwilkę tylko świecą jasne
Nim się w przejrzystych łez zamienią strugi
I łzami swemi zmyją życie własne.

NAPOLEON.

Tegoś nie mówił!...

SATANOS.

Lecz mówil ktoś drugi.

NAPOLEON.

Ty mi urągasz!

SATANOS.

Gdzieżbym się odważyl
Urągać twojej monarszej godności,
Ja mówię tylko, żeś ty nie rozważył
Znaczenia moich obietnic przyszłości!

NAPOLEON.

Jesteś nikczemny — straszny i przewrotny — —

SATANOS.

Późno poznałeś, gdy wracasz samotny!

NAPOLEON.

Teraz, ty nawet, w drodze mnie porzucisz....
Powiedz przynajmniej, czem jestem wśród świata.

SATANOS.

Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz —
A proch — wiesz dobrze — lada powiew zmiata.

NAPOLEON.

Gdzież siła moja — litości!... litości!!

SATANOS.

Ja bardzo lubię upadłe wielkości —
Widok to arcy śmieszny i zabawny —
Gdy się kto staje i wielki i sławny
I rządy świata, pychą uniesiony
Zgarnie w swe dłonie; — a tu z innej strony
Zimny wiatr dmuchnie, ot kaprys natury
I nic, nic więcej — a wielkość runęła
Z hukiem i trzaskiem, jak lawina z góry!
Lecz nim się w czarną przepaść zesunęła,
Raz jeszcze wznosi błędny wzrok do koła
I z całej piersi na cały głos woła:
Rońcie łzy ludy, bo pyłek atomu
Niknie na zawsze pośród skał wyłomu!
Cha.... cha.... cha.... cha....

NAPOLEON.

Bądźże przeklęty!

SATANOS.

Już dawno nim jestem.

NAPOLEON.

Jam zbłądził, idąc za twych szat szelestem,
Które mnie w przepaść bezbrzeżną zawiodły.
Ach, tyś nikczemny, okrutny i .....

SATANOS.

podły.
To mój charakter, inny być nie może.
Widzisz, — gdy byłeś jeszcze w swojej sile,
Gdybyś był wtedy rozgrzebał to łoże —
Byłbyś tu znalazł, tu — na tej mogile
Fundament sławy i chwały wieczystej!
Tam leży ona — żywa, w pełnej zbroi
O duszy takiej prostej a świetlistej,
Że jej się piekło — samo piekło boi!

NAPOLEON.

O czemuż wtedy jam tobie uwierzył

SATANOS.

Bom w cienkie struny pychy twej uderzył,
A struny one dźwięczały rozgłośnie —
A dziś, dziś płaczą — prawda?... co?... żałośnie.

NAPOLEON.

Powiedzże, co mnie jeszcze w życiu czeka!?

SATANOS.

Strata korony....

NAPOLEON.

Nie — to być nie może!...

SATANOS.

Potem wygnanie.... wysepka daleka,
Cicha, odludna, oblana przez morze,
I żywot cały, z powabów odarty,
Dom obstawiony przez angielskie warty,
Brutal, komendant, który w twojej doli
Zacieśniać będzie twe pęta niewoli!

NAPOLEON.

Czy prawdę mówisz?

SATANOS.

Taką prawdę wierną,
Jak nigdy jeszcze nie wyszła z ust moich.

NAPOLEON (do siebie):

Mamże grać rolę niewolnika bierną?...

SATANOS.

Rób jak chcesz dalej, lecz w zamiarach twoich
Zgubisz się pewnie! Przebrzmiały twe hasła —
I twoja gwiazda szczęśliwa już zgasła.

NAPOLEON.

Chcę umrzeć prędko — i wiem jak postąpię.
(Wydobywa flakon i zażywa truciznę).

SATANOS.

Nie bierz trucizny, bo ja bardzo wątpię,
Aby do ciebie przybył śmierci goniec!

NAPOLEON.

Jad przetnie życie — a z życiem....

SATANOS.

Nie koniec.
Jest życie inne za grobowym progiem,
Gdzie wieczna światłość przyświeca przed....

NAPOLEON.

Bogiem?!...

SATANOS (z mocą):

Tak, przed nim, przed nim — i tam samowiedza
W ducha ludzkiego wciska się szczeliny,
W pamięci wznawia wszystkie czucia, czyny!
A on potęga, moc sama i wiedza,
On, sprawiedliwość nie ludzka, nie błędna;
Ale ta wielka, straszna, bo bezwzględna,
Ma w swojem ręku nagrody i kary!
Nagrody wieczne a i kary wieczne!
Tam wszystkich myśli występują mary —
Wszystkich, co były z Jego prawem sprzeczne, —
I duch człowieczy, spoglądając w morze
Wiecznej światłości, w Jej jasne promienie,
Spada jak kamień w przepaść.... w potępienie
Już bezpowrotnie!...

NAPOLEON.

Boże! wielki Boże!

(wybiega — Satanos znika).

SCENA 5.

ADAM — ANHELLI.

ADAM.

Najboleśniejsze wówczas łzy z ócz płyną,
Gdy człowiek żegna rozwiane nadzieje!

ANHELLI.

Dla dusz zwyczajnych i przeszłość ciemnieje,
A jej obrazy w niepamięci giną —
Marnieją serca, które wśród ciasnoty
Granic istnienia, kręcą się po ziemi,
Często nie znając własnej swej istoty!
Litować tylko trzeba się nad niemi,
Bo na ich widok litość serce zbiera!
Pamięć ich tylko z jednym dniem się sprzęga —
Rankiem powstaje, wieczorem zamiera
I jutrzejszego dnia już nie dosięga!
Pamięć nie na to tkwi w każdym człowieku,
Aby w niej próżnia świeciła chowana,
Jak karta wolna i niezapisana —
Pamięć przechodzi od wieku do wieku
I przekazuje przyszłym pokoleniom,
Co winny zmarłych swoich ojców cieniom!

ADAM.

Teraz mi jakoś smutno i boleśnie
Serce uderza! Ach! tyle nadziei
I tyle marzeń rojonych przedwcześnie —
I wszystko znikło w tej śnieżnej zawiei,
I on, on także!

ANHELLI.

Przyjacielu młody —
W drodze żywota muszą być zawody,
A wiara w ludzi, złotych snów rojenia
Toć same tylko złudzenia.... złudzenia!

(po chwili):

Niech serce mężne, jak w pancerz zakute
Gra pieśń miłości, lecz na swojską nutę,
Wtedy, gdy budzą nadzieje zdaleka,
Nie widząc gromów i Bożego gniewu,
I wtedy także, kiedy krew ocieka
Tę ziemię mogił!
Z tego krwi posiewu,
Z tej pieśni swojskiej, płynącej po rosach
Zejdą i ziarna w pozłocistych kłosach.

SCENA 6.

(Za kulisami muzyka gra „Tysiąc walecznych". Pieśń tę słychać z daleka, potem coraz bliżej i bliżej, słychać huk armat, strzały karabinowe coraz częstsze i głośniejsze. — Na scenie zjawiają się polskie i rosyjskie wojska — Chłopicki — pułk czwarty. Wre bitwa wśród której widać Karmana, prowadzącego wojska rosyjskie, po chwili Polacy się cofają. Borel i Fried w tym czasie z obnażonemi szpadami strzegą mogiły. Anhelli stoi naprzeciw mogiły, Adam oparty na jego ramieniu).

KARMAN (po odparciu wojsk polskich):

Precz! Precz stąd wszyscy! Precz od tej mogiły!
Widać za lekkie kajdany wam były,
Kiedyście chcieli porozrywać pęta!
Ścieśnię wam łańcuch, niech każdy pamięta,
Że jedno macie tylko praw nadanie:
Knut, szubienica, katorga, wygnanie!!

ADAM (podchodząc ku niemu):

I tem nie zdusisz naszej myśli wolnej!

KARMAN.

Stój, stój pieśniarzu! (chwyta go za rękę):
Byś nie miał mozolnej
Drogi w obczyźnie i smutku ciężkiego —
Zaczekaj chwilę, mój pieśniarzu dzielny,
Chwilę, nie więcej!

(szybko zacieśnia łańcuch na rękach Adama i ustawia go pod drzewem — do żołnierzy):

Rozstrzelać psa tego!

(występuje sześciu żołnierzy, podnoszą karabiny, Karman po kilku sekundach nagłym ruchem zniża ostrze szpady — zabrzmiała salwa. Adam stoi nieruchomo z podniesioną głową).

KARMAN (z najwyższym podziwem):

On nie umiera??!

ADAM.

Jam jest nieśmiertelny!
A choć się serce od kul zakrwawiło,
To jednak w piersi tak bije, jak biło —
I tylko żywszem odzywa się tętnem!
Mimo to w ciężkiej tych losów kolei,
Przejęty czuciem bolesnem i smętnem
Jam nie zatracił wiary i nadziei!
Gdy w mojem sercu żar miłości płonie,
To ja zwycięstwo noszę w mojem łonie!
Patrzcie szatani pod strzechą wieśniaczą
Lew odpoczywa w spokoju i drzemie —
Lew wielkiej siły, a lud mu na imię!

Lud, kiedy pojmie, co me słowa znaczą,
Jaka w nich boleść, jaka tkwi w nich skarga
Jaką się serce skrwawilo rozpaczą —
Kiedy zrozumie z nieba pieśń anielską —
Kły swe i szpony zatopi wam w cielsko —
Jednem wstrząśnieniem w sztuki was roztarga,
Jakby wam wszystką moc i siłę wzięto —
A wtedy będzie — zmartwychwstania święto!

(Odchodzi z Anhellım).

SCENA 7.

SATANOS, FRIED, KARMAN i BOREL.
(Po słowach Adama znać na nich przerażenie).

SATANOS (po chwili):

Lud! — Tak — to Samson!
O! straszne widzenie,
Lew w jego służbie! Ludu przebudzenie!
Ha! — więc śpiewaka uprzedzimy w dziele —
Pod strzechy wniesiem jad i garść pieniędzy
I zniweczymy zmartwychwstania cele!
Zatem pod strzechy chodźmy stąd co prędzej —
Chodźmy Borelu, bo nasz los się waży —
A wy, zostańcie przy grobie na straży!

(Odchodzi z Borelem).

SCENA 8.

KARMAN i FRIED.

KARMAN.

Ach! ten niepokój — to wieczne czuwanie
Przy tej mogile — jakże strasznie nuży —

Wolałbym przecie już mieć widok burzy
I wichrów wycie i piorunów granie!
Lada wiatr tylko liśćmi zaszeleści,
I trawy muśnie lub kwiaty poruszy,
Już lęk uczuwam w głębi mojej duszy.
Czuję, że szumią w powietrzu już wieści,
Iż ród jej wstaje potężny w obronie —
I nas, nas wszystkich w jednej chwili schłonie!

FRIED.

I ja się boję — od wieków się boję —
Jej i jej synów. Pamiętam ich zbroje
Kiedy blyszczaly do słońca na rolach —
Pamiętam burzę, szum skrzydeł i potem
Ciał naszych stosy, leżących pokotem
W krwawych kałużach.
na Grunwaldzkich polach!

KARMAN.

Ja bo nie widzę wyjścia ni sposobu,
Aby ich złożyć do jednego grobu.
Snać sil nie mają królowie piekielni,
Kiedy w tym rodzie są jeszcze pieśniarze,
Jacyś niezwykli, jacyś nieśmiertelni,
Którzy budują jej przyszłe ołtarze!

(po chwili):

Muszę strzedz dobrze, by pieśniarzy słowa
Pokryła cichość taka, jak grobowa —
Niech się nie przedrze w moje ziemie żadno
Ze słów tych dźwięcznych roztkliwionej pieśni —
A senne mary na cały ród spadną
I on w milczeniu dlugie wieki prześni!

FRIED.

Gdy duszę ludzką choćby atom zbrudzi —
Pieśń zaraz skona i zapał ostudzi!

SCENA 9.

(Za sceną słychać śpiew choralny):

Zapusty, zapusty
Zacely się wcora
Chodźcie ino chłopy
Do dwora, do dwora!

SCENA 10.

(Wielu chłopów z nożami w rękach, na pół upitych. Satanos postępuje przodem, niosąc czarną chorągiew. — Jan (twarz dzika czerwona), wszedłszy na scenę, śpiewa solo, inni mu wtórują).

JAN.

Zapusty cerwone
Zacely się wcora,
Chodźcie ino chłopy
Do dwora, do dwora.

CHÓR.

Chodźcie ino chłopy
Do dwora, do dwora
U ha!

JAN.

Na dworskim dostatku
Nikt z nas nic nie straci,
A za pana głowę
Miemiec nam zapłaci,
Zapłaci, zapłaci!

CHÓR.

A za pana głowę
Miemiec nam zapłaci,
Zapłaci, zapłaci!

SCENA 11.

CIŻ i BARTOSZ GŁOWACKI.

BARTOSZ (wychodzi nagle z poza drzewa).

Kaj wy idziecie?!

JAN.

Do dwora nam droga!

BARTOSZ.

Co wy robicie?! Dla Boga! — Dla Boga!
Wsak myśwa dawniej pod wodzą Kościuski
W słuzbie Ojcyzny śli razem z panami —
My! my moskiewskie zdobyliśmy puski
Naprosconemi tylko kosiskami!
A wy niescęśni, podnieceni trunkiem
Idziecie teraz krwią się zmazać bratnią! —
Bogactwa zdobyć mordem i rabunkiem!
Hańbę na wsyćkich wycisnąć ostatnią,
Aby łez gorzkich nie wyschło już morze!
(wybuchając płaczem pada na kolana z okrzykiem):
O! Matko Boska! O! Jezu! o Boże!

SATANOS
(zadrżał na wspomnienie tych imion, a widząc, że większa część chłopów rzuciła noże, zwraca się do nich):

Chodźcie, czas nagli, nie słuchajcie dziada.

BOREL.

Siadł na cmentarzu i nie wie, co gada.

JAN.

Zapusty cerwone
Grunt nas będzie zyzny
I pana nie stanie
Ni pańskiej pańscyzny.

CHÓR (schodząc ze sceny):

Ni pana nie stanie
Ni pańskiej pańscyzny!
U ha!

(Chłopi, którzy zostali i kilka kobiet wiejskich, otaczają płaczącego Bartosza, z poza kulis wybucha czerwona łuna pożaru — słychać krzyk rozpaczny i jęki, oraz uderzenia cepów).

SCENA 12.

(Z jednej strony wpada Anhelli z Adamem, z drugiej Anna z głową toporem rozbitą, krew twarz jej zalewa, na ręku niemowlę w skrwawionych pieluchach, sukni jej trzyma się starsze dziecko w sukience krwią pobryzganej).

ANNA.

O, Matko Boska! mój mąż! moje dzieci!!

(Pada, wieśniacy ją otaczają i opatrują, jedna z wiejskich kobiet tuli niemowlę do siebie, druga starsze dziecko).

ADAM.

Co to za krzyki?! Co za łuna świeci?!
Boże!! co widzę? czy to sen, czy mara!?

(Podczas ostatnich słów Adama, na wzgórzu postać Archanioła na białym koniu, z ognistym mieczem w ręce, w wielkim blasku)

ANHELLI (głosem przez łzy tłumionym):

Archanioł schodzi, miecz Boży i kara!

ADAM (klęka):

(Chłopi powracają z rzezi. — Jan ogromnie krwawy — na widok Archanioła pierwszy z nóg się zwala jak piorunem rażony — inni padają — inni klękają — później padają krzyżem — Anhelli płacząc cicho, twarz zakrywa — Adam głosem, płaczem przerywanym, deklamuje następujące słowa z choralu Ujejskiego):

O, Panie, Panie! — oni niewinni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tu czynni —
O, rękę karaj — nie ślepy miecz!
My z Archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy potem na wielki bój —
I na drgającem szatana ciele --
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój! —

(wskazując chłopów):

Dla błędnych braci otworzym serca,
Winę ich zmyje wolności chrzest,
Wtenczas usłyszy podły bluźnierca
Naszą odpowiedź: Bóg był i jest!

(Muzyka gra „Z dymem pożarów" — Adam klęczy z wzniesioną ręką do nieba — kurtyna pomału spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

ODSŁONA IV.

(Scena przedstawia cmentarz, jak w trzeciej odsłonie).

SCENA 1.

MARGRABIA (sam).

Dziwnie się czasem wszystko w życiu składa —
Niby nic nie ma, nic, cisza do koła,
Jednak w tej ciszy głos jakiś wciąż woła
I jakieś wielkie rzeczy zapowiada.
Niebiosa milczą, a pod ziemią słychać,
Że się grzmot burzy przewala z łoskotem
I grozi światu piorunów warkotem! —
Zda się, że ziemia poczęła oddechać
Czarnych chmur piersią!
W porządku natury
Jakieś się zmiany gotują złowieszcze.
Ziemia drży cała, kiedy milczą chmury,
Jakby uczuły zimnej trwogi dreszcze!
Jakby dla szarych i lotnych swych mgławic,
Bały się gromów, wstrząśnień i błyskawic,
Które wybuchną z pod ziemskiej powłoki,
Niosąc zniszczenie w ten ich byt wysoki!
(p. k. m.)
Chmury się wloką, w jeden punkt się garną!...

Czarno na ziemi i na niebie czarno!...
Powietrze wyschło, czuć dławiącą duszność!

SCENA 2.

MARGRABIA — SATANOS.

SATANOS.

Tak jest, margrabio, masz zupełną słuszność,
Bo słuchać tylko, kiedy ziemia jęknie
I patrzeć tylko, kiedy chmur zasłona
Rozdarta gromem, na dwoje rozpęknie —
A błyskawica zaświeci czerwona!

MARGRABIA.

Nie wiem — nic nie wiem, a jednak duch czuje,
Że jest coś złego!

SATANOS.

Burza się gotuje!

MARGRABIA.

Lecz jaka? jaka?

SATANOS.

Ha! — jako zwyczajnie,
Jak tego były przykłady rozliczne —
Młodzież gorąca, a uczucia skrajnie
Patryotyczne i demokratyczne
Wrą w niej, jak niby w wulkanu kraterze!
Młodzież do czynu zabiera się szczerze
I do swych celów podąża pochopnie,
A kiedy przejdzie wszystkich cierpień stopnie,

Wówczas ochłonie — przestanie być sobą,
Tylko że kraj ten okryje żałobą!

MARGRABIA.

Złowróżbną przyszłość głos twój zapowiada!

SATANOS.

Znalazłaby się jedna jeszcze rada,
Aby inaczej biegły przyszłe sprawy.

MARGRABIA.

Jakaż to — jaka? — jeżeliś łaskawy. —

SATANOS.

Przecież masz władzę.

MARGRABIA.

Na cóż ona zda się? —
Czyliż podejmę walkę już przedwczesną
Z tą marą przeczuć, żyjącą w tym czasie,
Marą, choć groźną, przecież bezcielesną,
Która nad światem mgławe cienie szerzy!?

SATANOS.

Władzy twej użyj przeciwko młodzieży.
Młodzież, jak widzisz, element burzliwy,
Zanadto wrący i zanadto żywy.
Możesz powstrzymać zapędy niewczesne
I zgnieść w zarodzie niebezpieczny związek!
Jest to zadanie ciężkie i bolesne —
Ale go wkłada wyższy obowiązek,
Bo obowiązek serca i sumienia!

Spełnić go trudno, trudno bezwątpienia;
Ale czasami, gdy z zawikłań wielu,
Na żaden sposób wybrnąć już nie możem —
Dla osiągnięcia ogólnego celu,
Gordyjski węzeł trzeba przeciąć nożem!
(p. k. m., wskazując mogiłę):
Kochasz ty matkę, tu, w tym grobie śpiącą?

MARGRABIA.

Z całego serca!

SATANOS.

Czyż pozwolisz na to,
Aby kto — wolę mając szalejącą —
Grób ten pogłębiał grabarza łopatą?
Lub szczątki trupa poniewierał srodze,
By i ślad po nim na wieki zaginął?!
I to dlatego, że na swojej drodze
Z zdrowym rozsądkiem na zawsze się minął?

MARGRABIA.

Cóż zatem począć?

SATANOS.

Zgnieść dzikie zapędy
I inne wskazać młodzieży sposoby, —
Ująć ją w karby, poprowadzić tędy,
Gdzie rozum wiedzie, drogą już utartą —
Nie do nieszczęścia, śmierci i żałoby!
(p. k. m.)
Cóż zdobędziecie swą walką otwartą?
Na cóż wojenna przyda się wam biegłość?
Was, niewolników, jedynie uległość

Może zachować od wiecznej zagłady —
A nie marzenia, wiodące do zwady!
Wy nie wskrzesicie nigdy waszej matki!
Sam rozum mówi, że nic nie pomoże,
Bo kto raz umarł — ten ożyć nie może!
Spojrz na ten kołos!
Od granic Kamczatki
W pół Europy wgryzł się i zanurzył —
Ale zaborczej nie dopełnił miary!
Wieleż mu trzeba, aby ten świat stary
Jednem wstrząśnieniem zniweczył i zburzył,
Zmieniając jego teraźniejszą postać?!
Ta jednolitość w karbach despotyzmu
To jest potęga! Któż jej zdoła sprostać
I złamać siłę zakutą w łańcuchy?
Czy może zachód utulony w puchy
Zgniłej rozkoszy i materjalizmu?!...
A cóż dopiero wy, wprzęgnięci razem
W rydwan kolosu! Wy chcecie go zdławić?
Chcecie go zwalczyć swych kajdan żelazem
I matkę waszą taką walką zbawić!?...
Lecz to szaleństwo — przyznaj mój margrabio —
Wylęgłe w mózgach młodych marzycieli!
Porywy takie was samych osłabią
I nie oszczędzą wam krwawej kąpieli.

MARGRABIA.

Przyznaję, — prawda — widzę wszystkie straty,
Jakie ta młodzież sprowadzić gotowa.

SATANOS.

Młodzież, margrabio, każ zabrać w sałdaty!

SCENA 3.

MARGRABIA, SATANOS i ANHELLI.

ANHELLI.

Od takiej myśli niech cię Bóg zachowa,
Bo spełnisz dzielo, podobne do czynów,
Jakie w Egipcie anioł śmierci spełnił,
Kiedy zabijał pierworodnych synów! —
Tam jednak Boży rozkaz się wypełnił
Dla pokarania przez tysiące zgonów
Ciemięstwa zbrodni dzikich Faraonów; —
A tybyś spełnił przeciw woli Bożej
Czyn ten okrutny — i o wiele gorzej,
Bo będąc dla nich nie obcym, lecz bratem,
Byłbyś zarazem ciemięscą i katem!
Od takiej myśli niech cię Bóg zachowa,
Bo jeśli klęska jaka spadnie nowa —
Ty jej się staniesz jednym winowajcą
I dla swej braci zawsze będziesz zdrajcą!!

MARGRABIA.

Zdrajcą! Co słyszę? I za co, i za co?!
Czyliż ja matki nie kocham serdecznie?
Czyliżbym nie rad własnych sił mych pracą
Dźwignąć ją z grobu, aby żyła wiecznie?!

ANHELLI.

Lecz złą obrałeś dla swych celów drogę.

MARGRABIA.

Złą?... Ale lepszej odnaleźć nie mogę.

ANHELLI.

Nie wszczepiaj zasad asymilacyjnych,
Bo naród do nich nigdy się nie nagnie,
Czując, że przecież utonąłby w bagnie!
Nie spełniaj teraz dzieł prowokacyjnych
I nie przyspieszaj wybuchu rozpaczy, —
Nie dyktuj twemu narodowi prawa,
Które w istocie ducha mu wypaczy!
Wola twa, tobie dobrą się być zdawa,
Ale gdy naród wolę twą odtrąca,
Nie śmie jej siłą narzucać twa władza, —
Bo jedenostka wbrew wszystkim idąca —
Na każdy sposób wszystkich tylko zdradza,
Gotując drogę do nowych upadków!
. . . .
Ty jesteś pionkiem, który los postawił
Na szachownicy dziejowych wypadków —
Bóg nie powołał, byś Ojczyznę zbawił
Przed naznaczonym czasem jej pokuty!

SATANOS.

Byłbyś ze wstydu i woli wyzuty,
Gdybyś tych prądów nie zgniótl despotycznie.
Naród, niemowlę, spowity w pieluchy —
Nie rozważając rzeczy politycznie,
Wierzy w szaleństwa, bo w powstańcze ruchy
Ty — mając własne i zdrowe poglądy,
Widząc w nim takie samobójcze prądy —
Zbaw go, zachowaj!

MARGRABIA.

Mam to przekonanie,
Że moją wolą zachować go zdołam!

ANHELLI.

Napróżno zatem przestrzegam i wołam!?

MARGRABIA.

Napróżno! Ja mam wyrobione zdanie.

ANHELLI.

Przekleństwo z twoją zwiąże się pamięcią
I wiecznie zdrajcy nosić będziesz miano!
(Odchodzi).

SCENA 4.

MARGRABIA – SATANOS.

SATANOS.

Nie wierz! Kto celom dobrym służył z chęcią
Zawsze go wówczas ze czcią uznawano,
Kiedy opuszczał czynów swoich szranki!

MARGRABIA (po krótkiem wahaniu):

Pójdę i wydam rozkazy do branki.
(Odchodzi).

SCENA 5.

SATANOS (sam).

SATANOS
(po chwili – patrząc za margrabią – ironicznie):

O, idź, margrabio! — o, idź, mój despoto,
Z miłością w sercu do matki rodzonej!
Matka wolności szczycila się cnotą,
A ty?... ty utocz za to krwi czerwonej

Z jej kochających synów marzycieli,
Aby wolności snów nigdy nie mieli!
Do dziejów przejdziesz ze sławy odarty —
Potomność nawet zarzuci ci zbrodnie; —
Z tej jednak każdy domyśli się karty,
Żeśmy obadwaj w tym razie szli zgodnie!

SCENA 6.

SATANOS, KARMAN, FRIED i BOREL.

KARMAN.

Jakieś się nowe znów obudza życie.

SATANOS.

Wszystko nam idzie dotąd znakomicie,
Nie masz powodu do niespokojności.

KARMAN.

Ze wszystkich moich widzę wiadomości,
Że mi nie braknie not dyplomatycznych.

SATANOS (sarkastycznie):

To mdłe wyrazy uczuć platonicznych!

KARMAN.

Ale się przecie obawiam potrosze,
Nie chciałbym w wojny wchodzić zawikłanie,
Wewnętrzną burzę ze spokojem znoszę,
Ale na zewnątrz....

SATANOS.

Kochany Karmanie,
Nie miej obawy przed Napoleonem;
Dziś jeszcze jasno jego gwiazda świeci,
Jako świeciła tamtemu przed zgonem! —
Padł niegdyś pierwszy, upadnie i trzeci!
Tron jego kruchy i kruche ma stopnie —
Runie, gdy silna dłoń się na nim zeprze —
Dłoń taka zawsze swego celu dopnie,
A cesarz siłą ciosu nie odeprze,
Bo krótko mówiąc, ten cesarz dzisiejszy,
Nawet do swego stryja niepodobny —
Tamten był mały, a ten — jeszcze mniejszy!

FRIED.

Mnie, gdy się zdarzy na to czas sposobny,
Sam go w zawikłań poprowadzę drogę,
Nie wiele tracąc, wiele zyskać mogę!
(Zdaleka słychać gęste strzały karabinowe, co trwa dłuższy czas).

SATANOS.

Burza nadciąga, czas na nas Karmanie
Do dalszych zwycięstw przygotować pole.

BOREL.

Ja także idę.

FRIED.

Niech co chce się stanie
I ja za wami podążyć już wolę.

SCENA 7.

TRAUGUT, ŻULIŃSKI, KRAJEWSKI, JEZIORAŃSKI i TOCZYSKI.

TRAUGUT.

Już z sił opadam.

ŻULIŃSKI.

Odpocznij Traugucie.

TRAUGUT.

Duch mój nie słabnie i nie słabnie czucie,
Lecz siła ciała często się wypala,
Wówczas gdy jeszcze tętni ducha życie!

KRAJEWSKI.

Strzały już milkną, bitwa się oddala!

SCENA 8.

(Po chwili wchodzi hr. LOLO, rozglądając się trwożnie do koła).

Hr. LOLO.

A, jak się macie? — Co wy tu robicie?

TOCZYSKI.

Ot, spoczywamy po trudzie i znoju.

Hr. LOLO.

Nie masz, jak czasy błogiego pokoju; —
Ale nie dla nas snać jego pociecha —
Wojna i wojna, cień jej wszędzie pada

I strzałów tylko rozbrzmiewają echa,
Jakby cepami młócono snop żyta.
(p. k. m.)
Mama zły koniec wojny przepowiada,
A moja mama rozumna kobieta
I bardzo mądre wypowiada zdania!
Nie ma co mówić, nam tego powstania,
Jak Bóg na niebie, nie było potrzeba!

TRAUGUT.

A czy ty, hrabio, pojmujesz, co znaczy
Walka, podjęta z bolu i rozpaczy —
Walka bez broni, odzieży i chleba?!

Hr. LOLO.

To też my wiemy, bardzo dobrze wiemy,
Że waszą walkę rozpacz tylko nieci —
I szczerze z waszym bolem współczujemy!
(p. k. m.)
Każdy z oddziałów, jak w pajęczej sieci,
Objęty znaczną siłą przeciwnika,
Zwolna topnieje i nakoniec znika!
Pocóż więc robić tak kosztowne próby
I w nich swej wlasnej szukać tylko zguby.
Można tę sprawę zwieść na inne tory,
Manifestując tylko opór zbrojny —
I to przedłużać aż do owej pory,
Dopóki Francja nie wypowie wojny. —
Wtedy rzecz cała ułoży się sama!
A wojna będzie; — prawie już się zbliża,
Bo wczoraj właśnie mówiła mi mama,
Że już wyjechał poseł do Paryża. —

Poseł nasz wziąwszy różne polecenia,
Napoleona z pewnością zachęci
Do wojny z Moskwą — i to bez wątpienia.
Już w Petersburgu wiedzą, co się święci,
Na jaką burzę stamtąd się zanosi.

TRAUGUT.

Pana, mój hrabio, optymizm unosi.

Hr. LOLO.

Ale, broń Boże — nie ludzę się przecie —
I moja mama, — co to rzadko bywa,
By taki rozum w słabej był kobiecie —
Powiada o tem, że myśl jest szczęśliwa!
Jeśli nasz poseł dobrze zużytkuje
Wpływy te, które w Paryżu mieć może —
To w takim razie Moskali zrujnuje. —

TRAUGUT.

Wojna, jak wojna — to zrządzenie Boże;
Ale ja nie mam do wpływów ufności.
Ufajmy raczej siłom tylko własnym,
Walczmy do śmierci, do ostateczności!
Gdy wróg pierścieniem otoczy nas ciasnym
I krwią zagasi nasz ból, nasze żale,
Zginiemy wszyscy, lecz zginiemy w chwale!

Hr. LOLO.

Wy nie ufacie, że wpływy coś znaczą,
A ja się trzymam mojej mamy zdania, —
Że ten wasz zapał sycony rozpaczą,
Zgubę gotuje, lecz nas nie ochrania

Ani na teraz, ani też na potem!
Zresztą nie trzeba zapominać o tem,
Że wpływy mają i na gabinety
Zawsze i wszędzie wyższych sfer kobiety!

TRAUGUT.

Ot, lepiej hrabio, wyjdź z nieszczęsnej roli
Widza statysty — weź karabin w dłonie
I stań rycersko w ojczyzny obronie!

Hr. LOLO.

Ależ mi mama na to nie pozwoli
I nie da spełnić takiego zamiaru
Ze względu na to, że w tak słotnej porze
Nabawiłbym się chrypki lub kataru —
Nie, to na żaden sposób być nie może.
Zresztą mam przykład — ot Tarnowski młody
Służył Ojczyźnie, miał zbyt silną wiarę,
Wyrzekł się świata, szczęścia i wygody,
I z własnej swojej krwi złożył ofiarę!
Kula, gdy leci, każdego się ima,
I nawet dla nas żadnych względów nie ma;
A ja mam inny zakres dla mych czynów.

TRAUGUT (do siebie):

O Polsko, Polsko! jakich ty masz synów!

Hr. LOLO.

Mama powiada, że jeśli zdołamy,
Napoleona do wojny nakłonić,
To niezawodnie — zdaniem mojej mamy —
Będziemy mogli Ojczyznę obronić.

A wówczas przecie — gdy będzie rząd własny, —
Ja, mając umysł o pojęciu bystrem
I o rządzeniu sąd zupełnie jasny —
Zostanę chętnie w tym rządzie ministrem —
I moja mama — to zaręczyć mogę —
Sama mi pewnie utoruje drogę —
Ale gdy teraz chmury się ściągają....

(wznawia się ogień tyralierski):

Idę, wybaczcie.... tu kule latają!

(odchodzi).

SCENA 9.

TRAUGUT, ŻULIŃSKI, KRAJEWSKI, TOCZYSKI, JEZIORAŃSKI i ANHELLI.

TRAUGUT.

O, Boże! Boże! zdejm z nas Twe karanie —
Zagrzej ich serca, wskrześ w nich siłę ducha —
I w ludzie naszym wskrześ miłość o Panie! —
My zerwiem wówczas ogniwa łańcucha,
Kiedy ich Boże powołasz do czynu!

ANHELLI.

Pokój wam, bracia! Pokój tobie, synu!

TOCZYSKI.

Kto to?

TRAUGUT.

Kto jesteś?

ANHELLI.

Jam posłannik Boży!

(p. k. m.)
Gdy duch człowieczy na tym łez padole
Na widok cierpień zgnębiony się trwoży,
Ja wypełniając niebios świętą wolę,
Moc mu przynoszę!

TRAUGUT.

Ach! widzę promienie
Na twojem czole świecące, jak złote.

ANHELLI.

W promień się każde zamienia cierpienie —
Gdy człowiek niesie swój krzyż na Golgotę!
Wieki minęły, a tam na tej górze
Krople krwi jeszcze widnieją świetlane
I łzy się perlą przez Mistrza wylane! —
Ponad tym światem przeciągnęły burze
I z chmur straszliwe gromy w ziemię biły,
Jednak te ślady takie wielkie, święte —
Do dziś zostały świeże i nietknięte,
Światowe burze dotąd ich nie zmyły!
Świat się odmienił, czas w żelaznej dłoni
Rozkruszył przeszłość i ona bez wieści
Przepadła w dziejów mglą pokrytej toni —
Tylko krwi Jego, Jego łez boleści,
Czasu żelazna dłoń zetrzeć nie może,
Bo w nich jest dusza i kochanie Boże!

(tkliwie):

O, bracia moi, gdy nadejdzie chwila,
W której potrzeba pożegnać to życie,
Niech to kochanie Boże was posila
I snem przeniesie w ono wieczne śnicie,

Gdzie Bóg już dla was zgotował nagrodę
Za krew ofiarną i za życie młode!

TRAUGUT.

O, dobry duchu! o, Boży aniele,
Gdy się domyślam z twoich słów znaczenia,
Że nam już życia zostaje nie wiele —
Błagam cię, odkryj drogi przeznaczenia
Naszej Ojczyzny! Myśmy dla niej żyli,
Dla niej zginiemy!

ANHELLI.

Kiedyś bracia mili,
Gdy łzy przeważą przeszłych grzechów szalę,
Ona powstanie w potędze i chwale.

TRAUGUT.

Więc w tę ojczystą naszej ziemi rolę
Nie darmo ziarno padało po ziarnie! —
Łzy i krew nasza i przebyte bole,
I czekające nas jeszcze męczarnie,
Pamiętne będą przyszłym pokoleniom!
Ziarna te zejdą wówczas kłosem plennym,
Gdy śmierć nas skrzydłem utuli swem sennem,
Wspomnienie tylko dając naszym cieniom.

ANHELLI.

Przyjdą złe czasy, w których brać bezdomną,
Walczącą w imię wolności idei,
Ludzie oziębli, może i zapomną!
Ale to minie w zwyczajnej kolei
I potem inne, lepsze przyjdą czasy —

Naród do życia dźwignie Boża ręka
I naród wasze przypomni zapasy!
Wówczas zabłyśnie wolności jutrzenka!
Każdy z was wtedy jako duch spowity
W anielskie szaty białości śnieżystej,
Płynąc wysoko tam, hen, nad błękity,
Ujrzy w przestrzeni przed sobą przejrzystej,
W dal się wznoszący nad ziemskie opary
Pomnik swej własnej męczeńskiej ofiary!

ŻULIŃSKI.

Powiedz aniele, co nas samych czeka?

ANHELLI.

Z Bogiem i w Bogu, śmierć już niedaleka,
Która w objęciu swojem was utuli.

ŻULIŃSKI.

Śmierć od oręża, czyli też od kuli?...
Milczysz?... dlaczego?...

ANHELLI (płacząc, zakrywa twarz).

TOCZYSKI.

Anioł bladolicy
Płacze, o, patrzcie — on płacze nad nami!

KRAJEWSKI.

Ha! już rozumiem! On świętemi łzami
Śmierć nam powiedział!

JEZIORAŃSKI.

Śmierć na szubienicy!

(Wszyscy grupują się około Anhellego).

ANHELLI.

O, bracia moi! przyszli towarzysze —
Ostatni jęk wasz, to ostatnie tchnienie
Sam Bóg posłyszy, tak jak ja go słyszę —
I błogie zeszle na was ukojenie!
Na ziemi będzie wróg zębami zgrzytać
I hańbą szarpać wasze zmarłe ciała; —
A tam — Pan Jezus wyjdzie was powitać,
A z Nim niebiańska i rozkosz i chwała,
Jaka nad słońcem w pełnym blasku płonie,
I Matka Boska w siedmiu gwiazd koronie,
I białych duchów niezliczonych rzesze!

. . . .

SCENA 10.

CIŻ i ADAM.

(Podczas ostatniego przemówienia Anhellego cisza zalega scenę)

ADAM.

O, bracia moi! ja tu do was spieszę
Ze złą nowiną! Już wszystko stracone!
Wkoło się jeży las wrogich bagnetów
I w otchłań strąca dzieło nieskończone —
A tam szeregi wymorzone nędzą
Jak trupie widma półnagich szkieletów
W lodowe stepy do katorgi pędzą!

SCENA 11.

(Ukazują się szeregi powstańców, idących na wygnanie pod strażą kozaków. — Piechota rosyjska otacza cały cmentarz).

CIŻ i KARMAN.

KARMAN.

Ha! więc jesteście! jesteście nareszcie —
A jam tak marzył o waszem ujęciu —
Dałbym był za was — o, wierzcie mi, wierzcie —
Pół życia mego — za was, za was pięciu!
Mam was — to rozkosz, to jest szczęście moje,
Ja przebywałem przez was cierpień tyle
I miałem takie straszne niepokoje —
Takie rozpaczne i okropne chwile,
Jak ten dzisiejszy dzień dla mnie radosny!

. . . .

O, w lesie dla was już nie rosną sosny —
Patrzcie, widzicie, tam przy cytadeli
Pięć obrobionych słupów już się bieli!
Tam was powiodą! tam kat was dosięgnie
I stryczek gardło, niby wąż obciśnie!
Kat swym ciężarem u nóg wam zawiśnie,
Aż mięśnie wasze i ścięgno po ścięgnie
Będzie się rwało, aż krtań wyprężona
Oddech wam zamknie, zanim serce skona —
Aż strach się wydrze z przerażonych źrenic!
Pięciu was było — ja mam pięć szubienic!

ADAM.

Boże! mój Boże!

(Trauguta, Żulińskiego, Toczyskiego, Krajewskiego i Jeziorańskiego, straż otacza i wyprowadza).

TRAUGUT (odwracając się do Anhellego i Adama):

Módlcie się za nami!

ANHELLI.

Łzy to ostatnie! Wytrwania — Bóg z wami!

ADAM.

Rozpacz drze serce i w oczach łzy pieką —
Ach, łzy te widać daleko!... daleko!...

KURTYNA SPADA.

ODSŁONA V.

(Scena przedstawia salon, dużo kwiatów. – Po lewej i po prawej drzwi, – w głębi ściana zupełnie otwarta, oddzielona kotarą. Przez to bardzo szerokie, zupełnie otwarte przejście, widać tańczące pary przy tonach walca – po prawej duże lustro).

SCENA 1.

BOREL, FRIED i KARMAN.

BOREL.

Ja mam mój system — najlepszy jak sądzę,
Uśpić ich czujność zdołałem w narkozie,
Potem zaszczytów zapaliłem żądzę
I na niej wiodę, niby na powrozie,
Bezwiedne tłumy, pozbawione woli
W otwartą przepaść czarną i głęboką!

KARMAN.

System wyborny, tylko lud na roli
Zostanie zawsze skalistą opoką,
O którą nasze fale się rozprysną.

FRIED.

Jeśli kajdany i lud dobrze ścisną,
To w każdym razie można na to liczyć,

Że i lud także da się wydziedziczyć. —
Oni we wszystkich warstwach swych jednacy,
Sfera od sfery wcale się nie różni —
Oprócz tych ludzi, którzy będąc próżni,
We własnej roli wyrzekli się pracy
I podążyli drogą swego błędu
Szukać zaszczytów, służby i urzędu!
Oni, jak drzewa, dopóki są w ziemi,
Bielą się kwiatem i liśćmi zielenią —
Wydrzesz je z ziemi, natychmiast się zmienią —
Liść się pokryje barwami żółtemi
I drzewo uschnie. —
Z tego więc wypływa,
Że im wskazywać trzeba drogę błędną,
Niech się do biegu cały tłum ich zrywa,
Niech usychają pomału i więdną!

SCENA 2.

CIŻ i SATANOS.

SATANOS.

Ah! jak się macie, mili przyjaciele?!

BOREL.

Co, wasza miłość?...

SATANOS

Znają mnie tu, znają,
Bądźże spokojny, mogę wchodzić śmiele —
Czule przyjmują, czule mnie witają.

(Zrzucając płaszcz):

Ja dla nich jestem hrabia Satanowski —

Hrabia — to dobra marka w ich salonie,
A chociaż hrabia przynosi im troski,
Zatruwa spokój i serce drze w łonie —
Przyjaźni szczerej uczuć mi nie szczędzą
I w nasze sieci, jak szaleni pędzą!

FRIED.

Nie źle mi idzie z majątków wykupem.

SATANOS.

Za skutek rad mych słowem mogę ręczyć;
Kiedy ich ziemia stanie się twym łupem —
Widma przyszłości przestaną cię dręczyć,
Bo oni od tej pożądanej chwili
Znikną, jak gdyby na ziemi nie żyli.

KARMAN.

Oni — rozumiem; ale lud wieśniaczy?...

SATANOS.

Lud trzeba przywieść do stanu rozpaczy.
Niech, zalewając żrącego robaka,
Zmieni się zwolna w przelotnego ptaka —
I niech stąd idzie okryty łachmanem
Szukać dostatków — tam, za oceanem!
Stamtąd nie wróci, głód go w drodze zmoży
I na śmierć w piaskach gorących ułoży!

KARMAN.

Projekt wyborny, rzecz jednak nie łatwa.

SATANOS.

W jednem się kole myśl twoja wciąż gmatwa.
Ot, spojrz na Frieda — za wskazówką moją,
Założył związek potężnej hakaty,
Będący naszym zamiarom ostoją!

FRIED.

I wszystko mi się wybornie udaje —
Zabieram dwory i dworki, i chaty,
I kłośne łany, i zielone gaje! —
Potem rolników, skazanych na nędzę,
Gdy porzucili rodzinne zagony,
Bez miłosierdzia z mojej ziemi pędzę
Na wszystkie cztery tego świata strony!
Tych, co zostali — tych staram się spodlić
I tych utopię w bagnistej topieli —
A potem język wyrwę im z gardzieli,
Aby się nawet nie mieli czem modlić!

KARMAN.

A ja, z obydwu waszych systematów,
Cokolwiek sobie dla mych spraw przyswoję,
Uznając zgodność naszych postulatów.

(Do Frieda):

Po większej części wstąpię w ślady twoje,
Lecz nie odrzucę systemu Borela,
Który niezgorsze oddaje usługi —
Zaraz postawię pomnik wieszatela,
A im pozwolę wybudować drugi.

SATANOS

Myśl doskonała, oni, wśród manowców

Zabłądzić muszą, ręczę za to słowem,
I ty się spotkasz ze zjawiskiem nowem:
Wielce lojalnych panów ugodowców.
Karmanie, przyjmij uścisk mojej ręki
Za tę myśl twoją.

SCENA 3.

CIŻ i ALFONS.

ALFONS (do Satanosa):

O! dzięki ci, dzięki.
Kochany hrabio — jakże ja się cieszę,
Że cię w mym domu mogę dziś powitać.

SATANOS.

Dziś nie o zdrowie przychodzę cię spytać,
Lecz, mój Alfonsie, niecierpliwie spieszę,
Aby ci złożyć serdeczne życzenia.

ALFONS (wskazując Borela):

To ekscelencyi mam do zawdzięczenia,
Że dziś zostałem tajnym radcą dworu.

SATANOS.

Miałeś zasługi....

ALFONS.

Z pozoru, — z pozoru,
Lecz rzeczywistych bądź wcale nie było,
Bądź też ja sam ich zupełnie nie świadom.

KARMAN.

Wiele zawdzięczać mogą waszym radom.

ALFONS.

Ha — prawda, trochę coś się i zrobiło,
Lecz w każdym razie — wierzcie mi — nie wiele.

SATANOS.

Niech cię uściskam, gdy twą radość dzielę,
Widząc dziś twoje ziszczone pragnienia.

ALFONS.

Ten dzień dzisiejszy tak był dla mnie błogi,
Żem się jak dziecko spłakał z rozrzewnienia. —
Wyobraź sobie — siedzimy mój drogi
Z Melką w pokoju, a w tem mi podają
Jakiś telegram. Otwieram i patrzę,
I nic nie widzę, bo litery drgają,
Mieniąc się w oczach w barwy coraz bladsze —
I ja przybladłem. Melka przerażona
Nieznaną treścią tej mojej depeszy,
Chce mnie pocieszać — i ojciec mój spieszy —
A ja otwieram z radością ramiona
I mimo uczuć, które we mnie wrzały,
Mimo łez, które po licach spływały —
Wieść im szczęśliwą oznajmić zdołałem,
Że ekscelencyą w tej chwili zostałem!

SATANOS.

Pani Amelia cieszyć się musiała.

ALFONS.

Ah — moja żona — śmiała się, płakała....

SATANOS.

A ojciec?...

ALFONS.

Ojciec — nie chcial w to dać wiary,
By tego szczęścia przy swym synie dożył;
Gdy się przekonał -- wyrzekł się czamary,
Przebrał się zaraz i modny frak włożył.

SATANOS (śmieje się).

BOREL.

A! — ekscelencyi przyszłość niedaleka;
W otwartej drodze zaszczytnej karyery,
Wszystko być może — i fotel, i teka....

SATANOS.

I łask dowody....

KARMAN.

I wstęgi....

FRIED.

Ordery....

ALFONS.

Ach, ach! panowie!... umieram z radości....

SATANOS.

A ja ci mówię, że od tej przyszłości,
Jeden cię tylko krok już teraz dzieli.

SCENA 4.

CIŻ i Pan JÓZEF.

Pan JÓZEF
(nieprzyzwyczajony do nowego stroju, często nie wiedząc, co ma zrobić z rękoma, szuka pasa na sobie. Witając Satanosa):

Dawnośmy, dawno — wierzaj mi, mospanie —
Nie byli tacy szczęśni i weseli; —
Dziś — gdy muzyki huczne słyszę granie,
Głoszące radość dla serca i słuchu —
To rozbawiona moja dusza hasa!
(do siebie):
Cóżbo do dyabła — gładząc się po brzuchu,
Z przyzwyczajenia ciągle szukam pasa.
(głośno, wskazując syna):
Taką nam radość ekscelencya sprawił,
Że i ja, stary, przy nim się rozbawił.
Syn na pociechę moją się wychowal,
Prawda mospanie, — niedawno posłował,
A teraz tytuł znaczny już posiada,
Jest tajnym radcą i w radzie zasiada —
Gotów ministrem zostać nawet z czasem.
(do siebie):
E, — cóż do dyabła z tym przebrzydłym pasem.

SATANOS.

Ach! niezawodnie syna pan zobaczy
W niedługim czasie u szczytu i celu

Wszak Alfonsowi widocznie się znaczy
W ministerjalnym zasiadać fotelu.

Pan JÓZEF (bardzo uradowany):

Jak... jak powiadasz?... już w niedługim czasie?!
Jeśli wiesz, hrabio, nie trzymaj mnie w męce.
(do siebie):
Cóż, nie zapomnę nigdy o tym pasie –
Prawda, że nie wiem, gdzie mam podzieć ręce.
(głośno):
Jeśli wiesz, powiedz!

SATANOS.

Tak słychać, tak słychać!

Pan JÓZEF
(w obu dłoniach ściska rękę Satanosa).

SCENA 5.

CIŻ i Hr. LOLO.

Hr. LOLO (wachlując się chustką):

Muszę wypocząć, nie mogę oddechać –
We walcu oddech i siły straciłem.
Ah! Satanowski – jak się masz, jak się masz –
Właśnie przed chwilą o tobie mówiłem.

SATANOS.

Tajemnic widzę, że przedemną nie masz,
Może się zatem czegoś więcej dowiem.

Hr. LOLO.

O, mój kochany, nic więcej nie powiem.

SATANOS.

Tylko chcę wiedzieć — jeśliś tak łaskawy,
Z kim rozmawiałeś.

Hr. LOLO.

Przyjaciel ciekawy? —

SATANOS.

Tak — tak, to prawda.

Hr. LOLO.

Lecz ciekawość pono
Jest pierwszym stopniem do piekła wiodącym —
A tam podobno okrutnie czerwono.

SATANOS (śmiejąc się):

Jam oswojony z klimatem gorącym,
Nie mam obawy przed ogniem i piekłem.

Hr. LOLO.

Długo na siebie czekać dziś kazałeś.

SATANOS.

Prawda, że nieco przybycie me zwlekłem.

Hr. LOLO.

Łask u Amelii przez to nie zyskałeś.

SATANOS.

Nie mogłem wcześniej przyjść na żaden sposób —
Nie miałem czasu.

Hr. LOLO.

Ha — ha — doskonały,
Ty i brak czasu — nie, to wprost pocieszne!

SATANOS.

Moje twierdzenie zdaje ci się śmieszne!

Hr. LOLO.

Ach, oczywiście! — Wszak ci nieba daly
Wszelkie warunki zupełnej swobody!
Jesteś bogaty, rozumny i młody —
Oto z twych zalet trzy główne zalety;
A oprócz tego dodajmy przystojność
I wielkopański ten życia ton gładki —
A rozwiązanie znajdziemy zagadki,
Dlaczego piękne naszych sfer kobiety,
Tracą przy tobie swoich serc spokojność!
Tak, mój kochany, — odkąd cię poznałem,
Wiem, że ci życie więzów nie nakłada —
A gdy się naszym stałeś ideałem,
Świat nasz w zachwycie tobie hołdy składa.
I słusznie czyni, słusznie swoją drogą,
Że swe ofiary zapala przed tobą,
Bo nie ma dotąd, prócz ciebie, nikogo,
Ktoby był taką salonów ozdobą!
(ściska go za rękę).

SATANOS.

Daruj — z tych pochwał wypływa przesada.

Hr. LOLO.

Przyjaciel szczerą prawdę wypowiada,

Sądząc, że mojej zaufasz szczerości!
Zatem brak czasu?...

SATANOS.

Tak w rzeczywistości.
Mimo swobody, czas mój bardzo drogi!
Odkąd wstąpiłem w tego świata progi,
W moim zakresie pracuję gorliwie,
Bo ja mam także swoje powołanie.

Hr. LOLO.

Wierz mi, że twoje pod tym względem zdanie,
Brzmi — choćby dla mnie — całkiem osobliwie.

FRIED
(do Alfonsa, kończąc rozmowę z nim i innymi dotąd po cichu prowadzoną):

Więc tysiąc morgów całego obszaru?

ALFONS.

Tysiąc z okładem.

FRIED.

Dam po tysiąc marek.

SATANOS.

Sprzedaj Alfonsie — zbędziesz się ciężaru.

Pan JÓZEF.

Ha — Czarnoniwy — to matczyn podarek,
Odwieczne gniazdo praojców jej rodu —
Ale cóż robić — syn mój, radca dworu,

Zajmie się pracą innego zawodu
Dla dostojeństwa, sławy i honoru.
Niech się pnie w górę na przyszłym urzędzie....

SATANOS.

A hreczkosiejem z pewnością nie będzie.

KARMAN.

O niezawodnie.

BOREL.

Pewnie....

Hr. LOLO.

Bezwątpienia!
Ja się już ziemi od dawna wyzbyłem —
Ach! co ja mialem zgryzot, utrapienia!...
Przed gradem drżałem, deszczem się martwiłem,
Słońce mnie w rozpacz wprawiało w posusze —
Wreszcie raz mamie nieboszczce powiadam,
Że tę przeklętą ziemię sprzedać muszę....

FRIED.

Na to, jak z deszczem, ja do pana spadam.

Hr. LOLO.

O tak, baronie. — I widzicie przecie,
Krótkośmy sprawę kupna załatwiali —
W jednym dniu kontrakt spisano w powiecie —
Potem nas chłopi gromadnie żegnali —
A potem miłe wśród zgiełku i stuku,
Zacząłem życie na tym miejskim bruku

I jest mi dobrze, jak przedtem nie było!
Nie słyszę grania, ni pastuszych śpiewek
Takich, jak gdyby stado wilków wyło —
I nie widuję pstro ubranych dziewek,
Ni bab, podobnych z figury do snopów,
Ani od słońca ogorzałych chłopów.
Żyjąc przyjemnie w mojej tylko sferze,
Teraz już w szczęście i w spokój mój wierzę!

FRIED.

Czy ekscelencyi mogę dać zadatek.

ALFONS (po dłuższem wahaniu):

A dobrze.... przyjmę....

FRIED (podając pieniądze):

Tu jest sto tysięcy —
No i to dodam jeszcze na ostatek,
Że gdyby morgów było znacznie więcej,
Zapłacę za nie.

Pan JÓZEF (zacierając ręce):

Co za dzień szczęśliwy!

FRIED.

A, ekscelencya zechce kilku słowy
Potwierdzić odbiór!

SATANOS (do Alfonsa):

Wybawca prawdziwy,
Wszystkie kłopoty zabiera ci z głowy.

ALFONS.

Już od tej chwili żadnych nie ponoszę. —
Proszę uprzejmie, bardzo panów proszę,
Dam wobec świadków moje potwierdzenie.

(Wszyscy wychodzą, oprócz Satanosa).

SCENA 6.

SATANOS (sam).

SATANOS (wybucha śmiechem, po chwili):

O! na tej drodze wkrótce was wyplenię,
Jak się wyplenia chwasty z każdej grzędy!
W niedługim czasie słuch o was zaginie,
A byt wasz w nicość, jak dym się rozplynie
I może tylko dla jakiej legendy,
Stworzycie kiedyś nieciekawy temat.
Albo satyryk zjadliwym dowcipem,
Pisząc z zamierzchłej przeszłości poemat —
Zabawić zechce czytelnika typem
Człowieka, który wiedziony na pasku
Czczej swej ambicyi, wyniesionej z rodu —
Sam dobrowolnie wlazł do samotrzasku,
Aby tam zmarnieć, albo zginąć z głodu!
Z tem wszystkiem jednak kocham was niezmiernie,
Bo dla blyskotek służycie mi wiernie! —
O! was, jak dzieci, te błyskotki wabią!

SCENA 7.

SATANOS — AMELIA.

AMELIA.

Witam cię, witam, niedobry mój hrabio!

SATANOS.

Niechże łaskawa pani mi wybaczy,
Niezawinione przezemnie spóźnienie.

AMELIA.

Jeśli pan liczy na me przebaczenie,
Niechże się pierwej z winy wytłumaczy.

SATANOS.

To widzi pani niesłychanie trudno,
Bo w duszy ludzkiej tkwi pewna przewrotność,
Czasem jest pustka tam, gdzie bardzo ludno —
A czasem ludna jest cicha samotność.
Dziś właśnie miałem jedną z tych chwil w życiu,
Które nie mogą przeminąć bez wrażeń —
Byłbym.... rad byłbym pozostał w ukryciu,
By mi świat nie psuł przędzy moich marzeń.

AMELIA.

Ach, pan poeta!?... Naprawdę poeta....
A ja, puszczając domyślności wodze,
Już widzę jasno, że pewnie kobieta
Stanęła panu w jego życia drodze. —
Ten pański nastrój tak dziwny, odmienny,
Przybrany w blaski nowej barwy, świetnej
Już przez to samo, że jest niecodzienny,
Do ciekawości zmusza niedyskretnej.

SATANOS.

Nie przeczę pani — trafne jej domysły,
Tylko z miłością niepokój odżywa, —
Bo już się lękam, aby mi nie prysły

Łańcucha marzeń złocone ogniwa,
Wiązane serca strwożonego drganiem! —

AMELIA.

Wzmocnić je trzeba miłości wyznaniem.

SATANOS.

Albo niem cały dług serca zapłacić —
Nie posiąść szczęścia i już je utracić!

AMELIA.

Skądże ten smutek, powiedzże pan przecie....

SATANOS.

O, pani jedna może na tym świecie
Uczucia moje właściwie rozumie —
Pani w mem sercu wszystko czytać umie!

AMELIA.

O nie — nie wszystko. Ja widzę z oddali,
Że się w tem sercu jakiś ogień pali;
Ale dla kogo — nie umiem przeczytać. —
Nie chcąc być zbytnio ciekawą w tej mierze,
Nie będę pana badać, ani pytać.
Widzę twą miłość, w niepokój twój wierzę,
Bo na twem czole spostrzegłam od razu
Z pierwszem wejrzeniem snujące się chmury; —
Ale to wszystko są tylko kontury
Tego w twem sercu skrytego obrazu,
Który ci farbą malował złoconą
Ten psotnik amor!

Poza tą zasłoną,

Co tam do ramy tak szczelnie przylega
Niczego słaby wzrok mój nie dostrzega.

(Obraca się do lustra, poprawiając włosy).

SATANOS.

Ot i zasłona w tej chwili już spadła —
Pani ujrzałaś przedmiot ubóstwiany.

AMELIA.

Nic nie widziałam.

SATANOS.

Tam w szybie zwierciadła
W szklannej powłoce świateł blask skąpany
Odbił twą postać w całej jej piękności.

AMELIA.

Co....?!

SATANOS.

Ach! Amelio!!... Czyliż to wyznanie
Gorącej mojej do ciebie miłości
Spada na ciebie tak niespodziewanie,
Że wywołuje twój okrzyk zdumienia!?
Czyliżeś luba dawno nie dostrzegła
Z każdego mego słowa i wejrzenia,
Że w sercu mojem wrząca krew się zbiegła
I tętniąc głośno miarą swych uderzeń,
Sama się w swoich ciągle wznosi falach,
Skłaniając serce do wyznań i zwierzeń!?
. . . .
Teraz, — w tej chwili, na twych ust koralach

Słowa wyroku dla mnie już zawisły!
A gdyby.... gdyby moich snów marzenia,
Niby mydlana bańka, się rozprysły
Pod wpływem twego zmrożonego tchnienia, —
To serce moje rozpęknie, jak szklanne!!
Amelio droga! miej litość nademną!
O spojrz na moje męki bezustanne —
I bądź najmilsza.... ach! bądź mi wzajemną!

AMELIA.

Ach! panie hrabio!... Co słyszę?... co słyszę?...
Nie!... być nie może.... w żaden sposób przecie....

SATANOS (zbierając się do wyjścia):

Niech się twe serce do snu ukołysze —
Żegnam cię pani! żegnam cały świecie!

AMELIA.

Zostań!... ach zostań!...

Dlaczegoż tak nagle....

SATANOS.

Korab u portu — więc zwijam już żagle,
Niech mi na wichrze darmo nie łomocą —
Już nie popłynę — nie mam gdzie i po co! —
Przedemną przystań i w mojej przystani
Grób na mnie czeka!

AMELIA.

Ach!... panie!!

SATANOS.

Tak pani!

AMELIA.

Jam przecie temu zupełnie niewinna —
Tak już los zrządził, że na zawsze muszę
Zamknąć me serce, aby miłość inna
Oprócz małżeńskiej nie wdarła się w duszę!

SATANOS.

Moralność świata dziwna, wypaczona,
Która broń w rękę samobójczą wkłada
I własne serce każe wydrzeć z łona!
Na kogóż — pytam — wina za to spada,
Że w ludzkiem sercu, jak w wulkanie na dnie
Kipi żar wieczny? — Że czasem ta lawa
Wzburzy się, wzniesie i na wierzch wypadnie!?
Któż temu winien, że natury prawa
Zawsze są sprzeczne z moralności prawem!?
Mamyż cierpienia powiększać katusze,
Żyć życiem smutnem, bolesnem i łzawem —
I samowolnie własną ranić duszę? —
Dlatego tylko, że tam kiedyś, komu
Przyszło do głowy nakazać ludzkości —
Pod zagrożeniem wiecznych kar i sromu —
Tej tylko jednej hołdować miłości,
Której ogniwa ksiądz złączy w kościele?!

. . . .

Ależ to życie daje tak nie wiele, —
Gdybyśmy chcieli jeszcze z tej kruszyny
Dla tych abstrakcyj niejasnych i mętnych
Na każdym kroku składać dziesięciny —
To z wszystkich naszych rozkoszy przeciętnych
Dla nas i życia nicby nie zostało!

. . . .

O, spojrz Amelio — zanim się to stało,
Żeśmy oboje znaleźli się razem
Na jednej drodze — ja ciebie już znałem;
Tyś się spotkała także z mym obrazem;
Ja tam w twem sercu nieraz przebywałem,
Nieraz twą duszę pieściłem mą dłonią
I ogarniałem z rozkoszą jak swoją!
Czemuż! ach czemuż — dziś słowa twe bronią
Nazwać cię moją?!... na zawsze już moją!!

. . . .

Istota ludzka, wtedy jest w całości,
Gdy jest z dwóch bytów w jedność zespolona
Aktem gorącej, prawdziwej miłości,
Kiedy żar jeden dwa rozgrzewa łona!
Och, pozwól!... pozwól! — gdyś me serce wzięła
Na rzeczywistość mrzonkę zmienić złotą!
Pozwól, bym z tobą jedną był istotą
I by krew moja w twych żyłach płynęła!
Amelio droga!... kres nasz.... niedaleki....
Bądźże, bądź moją!...

AMELIA.

Jestem twą.... na wieki!

SATANOS (ściskając ją):

Ach, szczęście moje — jakżem dziś szczęśliwy!

(Długi uścisk).

SCENA 8.

SATANOS, AMELIA, FRIED, KARMAN, BOREL, Hr. LOLO, Pan JÓZEF, ALFONS, później MINISTER WOJNY.

ALFONS.

Dobrze że jesteś, kochana Meleńciu,
Pan baron kupił nasze Czarnoniwy.

AMELIA

(tłumiąc wzruszenie, podaje rękę Friedowi).

MINISTER WOJNY (w progu sali balowej):

Ich ekscelencye przy walca zaczęciu
Już towarzystwo nasze opuścili —
Prosimy wrócić do ochoczych tanów.

(uderzając w dłonie):

Kadryl!

Już kadryl zacznie się w tej chwili!

(Muzyka gra kadryla – widać taniec).

ALFONS.

Kadryl zaczęty! proszę, proszę panów!

(Wszyscy wchodzą do sali, Alfons idzie ostatni — zatrzymuje się i wraca, spostrzegłszy Adama).

SCENA 9.

ALFONS — ADAM.

ADAM.

Bal, czy wesele? — Witam cię, mój drogi!

ALFONS.

Kogóż to losy wiodą w moje progi.
(Wpatruje się w Adama):
Ach, Adam! Adam! dawnych lat towarzysz!
Jakże się miewasz, młody marzycielu?!
(Uścisk).

ADAM.

Błądzę po świecie!...

ALFONS (z odcieniem politowania):

I marzysz... i marzysz....

ADAM.

Marzę o życia naszym wspólnym celu,
O naszej matki przyszłem zmartwychwstaniu!

ALFONS.

Zawsze jednaki! W dzieciństwa zaraniu
Już ci te mrzonki umysł zaprzątały! —
Ot ideały, — same ideały!
Niech spi w pokoju, kto już raz jest w trumnie,
Ty snu wiecznego nie mąć nadaremnie
Tym, co pomarli!
Rozgośćże się u mnie!
(p. k. m.)
Cóż tak zdziwiony wpatrujesz się we mnie?

ADAM.

Wszystkoś odmienił — czucia i zwyczaje —
Jesteś, jak obcy — ja cię nie poznaję.

ALFONS.

Ha, postęp, postęp dwudziestu stuleci,
Już nas dzieł swoich ozdobił polorem.

ADAM.

Widzę, że wszystko, jak nowy szych świeci
Wielkiej świetności nieszczerym pozorem.
A jednak... dawniej... byliśmy tak bliscy....

ALFONS.

Ja się wyrzekłem i wyrzekli wszyscy
Młodzieńczych naszych utopijnych marzeń!
Przeszłość cenimy, bo z minionych zdarzeń
I z ojców czynów, możemy się chlubić;
Ale na przyszłość nie chcemy się gubić, —
Chcemy przeciwnie, pogodzeni z losem
Poprzednich naszych błędów, spłacić długi
I tym sposobem schronić się przed ciosem,
A z nimi sojusz zawrzeć pokojowy,
Dając im serca nasze na usługi.
To jest nasz program korzystny i zdrowy!

ADAM.

Tak, tak, pojmuję — dla matki straceni —
Wy w obcem słońcu szukacie promieni,
By się swych własnych chmur już więcej nie bać!
Ha! wy, wy chcecie matkę w głąb zagrzebać
I grób przywalić ciosanym kamieniem,
Aby od chwili pozornego zgonu,
Nie żyła w sercach już nawet wspomnieniem.
O, spojrz tam, w tłumie twojego salonu
Śmierć się uwija!!

ALFONS.

Ależ bądź spokojny,
To nasz aranżer – to minister wojny –
Szczupły bo szczupły, na zdrowiu zapada
I chudnąc ciągle, coraz więcej jada.

ADAM.

Dokładnie popatrz – tam w larwach – przebrani,
Dzieląc to krwawe w tym domu wesele,
W gronie twych braci hasają szatani!!

ALFONS.

Ależ, mój drogi – to są przyjaciele,
Którym zawdzięczam moje wyniesienie
I splendor wielki dla mego honoru!
Przez nich zostałem tajnym radcą dworu!

ADAM.

Więc radź mój radco, jak każe sumienie,
Nabyte w obcym świecidełek kramie! –
Radź obowiązków poczuciem przejęty,
Jak śmierć jej zadać!
Ha! i bądź przeklęty
Ty – matkobójco!!! (Odchodzi).

ALFONS.

Adamie!... Adamie!...

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

ODSŁONA VI.

(Scena przedstawia wnętrze wiejskiej chalupy. Po prawej komin, przy nim pułka z naczyniem, w głębi drzwi i okno, obok szafka z książkami, dalej łóżko, po lewej drzwi od komory, na przedzie sceny zastawiony stół wielkanocny).

SCENA 1.

HANIA – SATANOS.

HANIA.

Zabierzcie sobie ten wasz dar bogaty
I idźcie panie, – idźcie precz z tej chaty –
Ja nie sprzedaję czci mej i sumienia.

SATANOS.

Jakże to trudno, niby jak z kamienia
Wykrzesać z ciebie czucia odrobinę,
Gdy ja z dniem każdym kocham cię goręcej
Tak, że już serca nie odedrę więcej
Od ciebie luba!
Ja bez ciebie ginę,
Więdnę, usycham!
O Haniu! O Haniu!!
Ty jesteś mojem słonkiem o świtaniu,
Ty zórz różanych blaskiem, promieniami,
Ja ciebie kocham!

HANIA.

A ja gardzę wami!

(Odchodzi do komory i zamyka za sobą drzwi na zasuwę).

SCENA 2.

SATANOS (sam).

SATANOS.

Więc tu zwycięsca pada zwyciężony!

(p. k. m.)

Trudno, — prócz ziemi nic im nie potrzeba,
Na nich spływają wszelakich łask dary,
Pod każdą strzechą mają kawał nieba
Wieczystem słońcem pogody złocony —
I tyle w sercach niezmąconej wiary!

(po chwili):

To bardzo dziwne!
Kiedy blask oświaty
Począł się wdzierać do wieśniaczej chaty —
Miałem niezłomne w duszy przeświadczenie,
Że jego śladem w te progi się wciśnie
Niepewność serca i wiary zwątpienie!
Myślałem także, że iskra żądz błyśnie,
I w wielki płomień w duszach się rozpali,
Że oni łaknąć będą od tej chwili; —
Tymczasem jednak oni pozostali
Zawsze takimi, jakimi już byli!

SCENA 3.

SATANOS — FRIED.

FRIED.

Tamten wieś sprzeda, lecz z tymi rzecz trudna!

SATANOS.

Sam wiem najlepiej, jaka praca żmudna. —
Mamy przed sobą zadanie ogromne.

FRIED.

Ja jednak wierzę w twe siły niezłomne!
Nie wieczna przecie ich wiara i stałość.

SATANOS.

Ha, może... może... lecz trudno przewidzieć,
Kto z nas zwycięży. Siłę i wytrwałość
Po obu stronach mamy w równej mierze.

FRIED.

Nie lekceważę i nie myślę szydzić
Z ich wytrwałości, ale w nią nie wierzę —
Nikt z nich do tego nigdy nie był zdolny.

SATANOS.

Nikt?! — O nie Friedzie!
Popatrz na lud rolny,
W nim masz wytrwałość twardą, jak z granitu!
Dotąd pomimo wysileń i sprytu,
Ja nie zdołałem rozłupać tej skały!
Trud mój był wielki, a pożytek mały!

(p. k. m.)

Słuchaj mnie Friedzie jest nadzieja jedna,
Jedna, jedyna, która nam przyświeca —
A tą nadzieją nienawiść bezwiedna,
Jaką z nas każdy w ich sercach roznieca;
Jeżeli nam się ten jad uda wszczepić
We wszystkie serca; wówczas z każdej strony
Tryumf zwycięstwa mamy zapewniony;
Oni w uczuciach coraz mniej wymowni,
W marazmie będą zwolna się zasklepiać,
Aż znikną wreszcie zupełnie z widowni!
Lecz gdyby oni w najbliższej przyszłości —
Braterstwa węzłem złączyć się zdołali
I wyrzec wszelkich różnic dla równości, —
Wtedy mój Friedzie ten grom nas powali!
Wieczną nam zgubę węzeł ten zgotuje,
Bo sprawiedliwość swój gmach odbuduje
Z takim mozołem przez nas rozburzony —
I ona wtedy z mogiły powstanie,
A ja w piekielne przepaście strącony,
Na ziemi stracę moje panowanie!

SCENA 4.

SATANOS, FRIED, MACIEJ.

MACIEJ.

A — co ja widzę, goście w mojej chacie.

SATANOS.

Tak, tak Macieju; — jakże mi się macie?

MACIEJ.

Ot, dzięki Bogu, kiedy służy zdrowie.

SATANOS.

Przyszliśmy do was....

MACIEJ.

Już wiem, co pan powie –
Pewnie to samo, co pan mówił wczora,
Gdy wychodziłem wieczorem ze dwora;
Darmo się jednak pan hrabia tu trudzi
I ten pan także. Tu pan rady nie da,
Bo ja ostrzegłem wszystkich we wsi ludzi –
I nikt wam swojej zagrody nie sprzeda!

SATANOS.

Ależ Macieju!...

MACIEJ.

To ostatnie słowo
Nas pan nie skłoni złotem ni namową,
Dla nas mój panie złoto nie pokusa –
Ziemia to święta, a my gospodarze
Tę świętą ziemię dostaliśmy w darze.

SATANOS.

W darze?... Od kogo?!...

MACIEJ.

Od Pana Jezusa.

SATANOS (krztusząc się):

Hm... tak.... Dobranoc.

(Wychodzi spiesznie wraz z Friedem).

MACIEJ (zamykając drzwi):

Szczęśliwej wam drogi —
Nie dla was naszych sielskich zagród progi.

SCENA 5.

MACIEJ — HANIA.

HANIA.

Gdzieście tak długo mój tatulu byli.

MACIEJ.

We wsi, Hanusiu.

HANIA.

A ja do tej chwili
Musiałam siedzieć zamknięta w komorze,
Bo się ukryłam przed tym młodym panem,
Który tak długo już gości we dworze.

MACIEJ.

Dobrześ zrobiła. (p. k. m.)
Hanuś!... Dziś nad ranem
Rezurekcyjna procesja w kościele
I zaraz gości będziem mieli wiele,
Jako co roku.

HANIA.

Wszystko mam gotowe.

MACIEJ.

No i te wstążki, i ubiory nowe —

HANIA.

Tak... i to także...

MACIEJ.

Dziewucha strój lubi,
A Jasiek pewno młode serce zgubi.

HANIA.

Ej... — mój tatulu....

MACIEJ.

Na to dziewka czeka.
Nie wstydź się, nie wstydź — stary jeno spojrzy,
To chociaż nawet czasem i zdaleka
Kraśny rumieniec lub spojrzenie dojrzy!
Tak dziecko moje — jak Pan Bóg da zdrowie
Po Wielkiejnocy przyjdzie Jaś w zaloty,
A potem przyjdą drużki i drużbowie,
Muzyka zagra, nie zbraknie ochoty
I odprawimy z Jaśkiem zrękowiny.
A potem ręce ksiądz zwiąże w kościele....
Będzie wesoło, bo będzie wesele;
Ale cóż z tego.... Jasiek mi dziewczyny
Nie zechce potem ostawić już w domu, —
Weźmie, zabierze jedyną pociechę,
To słonko moje — tam pod swoją strzechę,
A stary ojciec nie będzie miał komu
Nawet powiedzieć, że go serce boli
Bolem serdecznej za tobą tęsknoty.

HANIA.

Żebyście chcieli, mój tatulu złoty
Jaśka do naszej wziąć chaty i roli —
A on przystanie, gdy się o tem dowie.

MACIEJ.

On, to wiem pewnie, lecz jego ojcowie
Mogą trudności robić nam z tej strony.

SCENA 6.

HANIA, MACIEJ i BARTOSZ.

BARTOSZ.

Niech Jezus Chrystus będzie pochwalony!

MACIEJ i HANIA.

Na wieki wieków!

MACIEJ.

Witajcie nam z drogi —
Jakże się macie, mój Bartoszu miły.

BARTOSZ.

Jako zwyczajnie tułacz i ubogi,
Lata mi czoło chylą do mogiły,
A życie trzyma na ziemi tak długo.

MACIEJ.

Ha, no — co robić, wy, to dobrze wiecie,
Że Bóg jest Panem, a czlek Jego sługą.

HANIA.

A co tam słychać, dziaduniu, we świecie?

BARTOSZ.

Ot, różnie bywa; — czasami złe górą —
I wtedy w duszy smutno i ponuro.
A czasem przecie i pociechy nie brak, —
Teraz to widać, lepszy czas nastaje,
Już chłop nie rzuca swej strzechy rodzinnej
I nie ucieka gdzieś na obce kraje,
Jako ten tułacz bezdomny i żebrak;
Lecz siedzi w roli i sieje, i orze,
Nie słabnąc dla niej w miłości powinnej —
I zmiłowanie czuje nad nią Boże.

. . . .

Szlachta znów gorzej, jedna rzuca ziemię
I do miast ludnych z swych dworów ucieka,
Druga, to niby całkiem obce plemię,
Serca się nawet swojego wyrzeka —
I ci, straceni dla naszego celu.
To jeno szczęście, że tych jest nie wielu —
Bardzo nie wielu, — i w tem łaska Boża,
Lecz i tych szkoda.

MACIEJ.

Dla nich snać nadzieje
Pod innym niebem.
To tak, jak garść zboża,
Kiedy ją człowiek przez młynek przewieje; —
Co bez wartości, co kąkol i śmiecie,
To wiatr wybije i z kosza wymiecie,

A samo ziarno pozostanie w koszu —
I to ma wartość — nieprawdaż Bartoszu?!

BARTOSZ.

Ha, święta prawda — tak jest, jak mówicie. —
Aleć, Macieju, lepszy czas nadchodzi,
Wszędzie się budzi jakieś nowe życie
I słońce nasze pogodniej już wschodzi,
I przez dzień cały jakoś świeci jaśniej,
I o zachodzie czerwieni się kraśniej!

MACIEJ.

Mówcież Bartoszu!

BARTOSZ.

Tak się wszystko składa,
Że Bóg już uznał naszą dolę biedną —
I o tem — zda się — cała ziemia gada,
I o tem dudnią chmury ponad światem!
Hej, hej Macieju!! — dwór z chatą, to jedno!
Chłop panu bratem i pan chłopu bratem!

HANIA.

Dzięki ci Boże!

MACIEJ.

Tak, to wielkie słowo!
O, mój Jezusie! o Polska Królowo!
Dajże nam dożyć jeszcze tego święta!

BARTOSZ.

Tak, mój Macieju, człowiek, jak ja, stary,

Co wiele dziejów i ludzi pamięta,
Co tyle przeżył, a nie stracił wiary
Wśród różnych nieszczęść jeszcze do tej pory —
Gdy takie słyszy radosne nowiny,
To tylko wzdycha, tylko na godziny
Chybkiego czasu rachuje bieg skory,
I sam się swojej tęsknej duszy pyta,
Kiedy to słonko na niebie zaświta!?

HANIA.

A ja wam prawdę najszczerszą powiadam,
Że jeśli taka święta rzecz powstaje —
To pierwsze ziarno rzucił pieśniarz Adam
Słowem swej pieśni!

MACIEJ.

Serce w piersiach taje
I żal okrutny duszę ludzką chwyta,
Kiedy się człowiek w tych księgach rozczyta.
Macie tam wszystko, — wszystkie nasze ciernie
I wszystkie bole, wrzystką krew przelaną,
I całą przeszłość wyraźnie i wiernie —
Zda się, że łzami samemi pisaną!
A jest tam także nauka przyszłości,
Czerpana z cierpień przebytych kolei!
Nie brak tam wiary wielkiej i miłości,
Obok ożywczej dla serca nadziei!

SCENA 7.

CIŻ i STANISŁAW.

STANISŁAW.

Chrystus zmartwychwstał!

MACIEJ.

Zmartwychwstał prawdziwie:
A, nasz pan dziedzic! witamy! witamy!

STANISŁAW.

Jakże się macie?

MACIEJ.

Biednie, lecz szczęśliwie. —

STANISŁAW.

Przychodzę do was, bo się już żegnamy.

MACIEJ.

Żegnamy? — jakto?!

STANISŁAW.

Moją wieś sprzedaję.

WSZYSCY.

Taak??

HANIA.

A to czemu?

MACIEJ.

Czyż tu źle wam panie,
Czyli wam czego może nie dostaje?

STANISŁAW.

Źle, nie źle, — różnie; — lecz tych pól oranie
Małym pożytkiem oracza obdarza.

MACIEJ.

Więc ten rodzinny zagon sprzedać chcecie?

STANISŁAW.

Dobra po temu sposobność się zdarza —
Złotem zapłacą, a na wielkim świecie
Znajdzie się zawsze rentowniejsza gleba.
O to nietrudno, kiedy się ma pieniądz.

MACIEJ.

Ha, pewnie — ziemię po kupiecku ceniąc.
Lecz tam nie będzie swoich zórz i nieba,
Ni rosy swojej, ani strzech wieśniaczych,
Ani przyjaźni naszych serc prostaczych!
Nic to — być może — nie warte dla pana,
Złoto da inną ziemię, więcej żyzną,
Lecz czyliż ziemia ta nasza, kochana —
Nie była ojców waszych ojcowizną,
Że ją tak chcecie bez żalu porzucić,
By nigdy, nigdy już do niej nie wrócić!?

. . . .

Jakże to panie — wyście zapomnieli,
Żeście tu ojców i praojców mieli,
Że waszej ziemi zaskrzepła powłoka,

Pokryła drogie dla serca popioły, —
A ich duszyczki — hen, hen, tam z wysoka,
Płynąc nad drzewa, wieże i kościoły,
Krzyżem was świętym żegnają mój panie!

STANISŁAW.

Tak, tak — to prawda!...
Ha — każde rozstanie
Z tem, z czem się zżyło już od lat tak wielu
Musi zaboleć. I ja to pojmuję
Tak samo jasno, jak wy przyjacielu;
Jednak ja dobrze to widzę i czuję,
Że grzebiąc ziemię, siebie zagrząść muszę.
Ciężary rosną, dochody maleją.
A człowiek tylko przygłodzoną duszę
Z dnia na dzień karmi zwodniczą nadzieją.
A jakąż przyszłość losy nam naznaczą —
Ot, naszamotać trzeba się w niedoli,
Wreszcie z przymusu rzucić zagon roli
I iść w świat z kijem i torbą żebraczą.
Dziś jeszcze pora uratować siebie
Przez sprzedaż wioski. A gdy to odłożę,
Któż mnie w przyszłości wesprze i wspomoże?!

MACIEJ.

A któżby panie — Pan Jezus na niebie!
(p. k. m.)
Rachuby naszej choćby jaka ścisłość,
Nigdy przyszłości dróg nam nie odsłoni;
Ufajmy Bogu, niech On naszą przyszłość
I nas w przyszłości od nieszczęść ochroni!

STANISŁAW.

Są jednak rzeczy, które myśl przenika
I swoją przyszłość człowiek łatwo zgadnie.

MACIEJ.

Hej panie, panie! W ludzkiej piersi na dnie
Gorące serce wciąż tyka i tyka.
A wy myślicie, że ziemia nieżywa
Z samej martwoty chlebne rodzi zboże? —
Nie! — i w niej także serce się odzywa,
Słuchajcie dobrze, w niej serce kołacze
I także tyka, tylko głośniej może,
I może częściej, niźli nasze płacze!

BARTOSZ.

Nie trzeba panie w sobie serca tłumić,
A ziemię kochać, kochać i rozumieć!

MACIEJ.

Ot, wyjdźcie kiedy na jaki łan kłośny,
Gdy wschodzi zorzy jasny brzask poranny,
Będziecie słyszeć kłosów chór rozgłośny,
Kiedy się modlą do Najświętszej Panny,
Będziecie widzieć, jak chylą swe czoła —
Aż z ich pokłonów, modlitw i szemrania
Mgła się na łanie szerokim do koła
W wiotkim oparze chwieje i rozprasza,
A łan złocisty mówi, gdy się kłania:
O Gwiazdo morza, Królowo, Ty nasza!

. . . .

Panie! Gdy człowiek odczuje to w duszy,
To tak głęboko kłosów szmer go wzruszy

I ta modlitwa tym szmerem śpiewana,
Że mu się same zginają kolana, —
Słowa modlitwy same mu się cisną,
A takie szczere, serdeczne i rzewne,
Że aż na oczach od nich łzy zabłysną!
A mgieł opary, te szare i zwiewne,
Wznoszą się w górę — hen aż pod niebiosy,
Unosząc nasze i kłosów płakanie!
Ach! bo wy może nie wiecie, mój panie,
Że rosą płaczą nasze polskie kłosy!!

BARTOSZ.

O tak, mój panie — płaczą, gorzko płaczą —
I to już więcej, jak od lat seciny,
Lecz pan to może nawet i nie baczą!

. . . .

Ostań pan z nami, zmażem przeszłe winy —
Może Bóg zeszle Swoje zmiłowanie,
Kiedy nam miłość zwiąże serca bratnie;
Może to będą nasze łzy ostatnie
I już ostatnie naszych zbóż płakanie!

HANIA.

Tu wszystko swoje, jak z serca wyjęte,
Tu ziemia droga, tu niebo kochane,
A takie miłe, takie bardzo święte!...
Ostań pan z nami!

STANISŁAW.

Zostanę, zostanę!

MACIEJ.

Dla takich kiedyś może Bóg nas zbawi.

BARTOSZ.

Niech ci Pan Jezus synu błogosławi
Za to, że z swoim pozostajesz ludem.

STANISŁAW.

O bracia moi! Bóg mnie przywiódł cudem
W serdecznej chaty wasze miłe progi —
Dziękiż ci bracie, dzięki, ojcze drogi
I tobie siostro, za nauki słowa!
Serce wam wdzięczność do grobu zachowa.

MAGIEJ (ściskając go):

O bracie! bracie! Już blisko nad nami
Zorza widnieje!

BARTOSZ.

Już świta!

SCENA 8.

CIŻ — ANHELLI i ADAM
(później chłopi, szlachta i mieszczanie).

ANHELLI.

Bóg z wami!

MACIEJ.

Ach, nasi drodzy, nasi mili goście!

HANIA.

Już wieś się schodzi, tatulu zaproście
Wszystkich do chaty, zanim dzwon na wieży
Na uroczystość świąteczną uderzy!

MACIEJ (do Adama):

Witajcie drodzy!

ADAM.

Witajcie nam wzajem!
Jakiś duch lepszy wionął ponad krajem
I zwiał różnice wszystkich naszych stanów —
Dziś już nie mamy ni chłopów, ni panów —
Jest miłość jedna i braterstwo jedno!

BARTOSZ.

A toć nam zmieni naszą dolę biedną!
Chcąc skutki złego odsunąć od siebie,
Trzeba odsunąć nasamprzód przyczynę
I w sercu swojem własną uznać winę,
Bo tego żąda sam Pan Bóg na niebie!

MACIEJ.

Gdy się człek szczerze przed Bogiem pokaje
I z żalem dawne opłakuje grzechy,
Bóg nie odmawia mu swojej pociechy —
Moc miłosierdzia sercu uczuć daje!
Naród ma także swe serce bijące —
Tylko na serce narodu się składa
Innych serc ludzkich tysiące, tysiące!
Kiedy na naród kara Boża spada —
Niechże to serce wielkie, to tysięczne —

Przed tronem Boga w żalu się ukorzy
Za to, że było grzeszne i niewdzięczne,
A Bóg mu może Swe serce otworzy!

SCENA 9.

CIŻ i ALFONS.

ALFONS.

Jesteś Adamie!
Ach może daremnie
Szedłem za tobą jak pielgrzym pokutny!
Może nie zechcesz klątwy twej zdjąć ze mnie!
Patrz, jak mnie złamał ten mój los okrutny —
Wydarł mi wszystko, wszystko co kochałem,
Co najmilszego miałem na tej ziemi.
Ja opuszczony sam jeden zostałem!
O, zdejm przekleństwo, gdy chodzę w pokucie
I grzechy łzami opłakuję memi!

ADAM.

Bóg Wielki z tobą! Twojem rozgrzeszeniem
Własne łzy twoje! Kto żalu uczucie
Nosi w swem sercu — ten swych win cierpieniem
Umarza długi!

ALFONS.

Miłosierdzia Boże
I przebaczenia błagam cię w pokorze!

ANHELLI.

Do miłosierdzia droga niezamkniona.

MACIEJ.

Ot, chodź, mój bracie, do naszego grona,
Serca dla ciebie otworem już stoją
I one żal twój i boleść ukoją
Przy łasce Bożej!

ALFONS.

Ty, nie wiedząc, bracie,
Jaką ja miałem przeszłość opłakaną,
Otwierasz serce, przyjmujesz w twej chacie
I dłoń wyciągasz ku mnie spracowaną? —
Wstrzymaj dłoń swoją, ja nie zasłużyłem
Na miłość waszą; ja byłem wyrodnym
Synem ojczyzny! Ja tyle strwoniłem
Danych mi darów; tak działałem zgubnie,
Że czuję dobrze, iż jestem niegodnym
Twego uścisku! Żyłem samolubnie
Z wystygłem sercem, bez iskry miłości,
Dla zabaw pustych, zaszczytów i śmiechu!
Jam wielki grzesznik!

MACIEJ.

I my nie bez grzechu,
Wszak w naszej wspólnej nieszczęsnej przeszłości
Jest jedna karta bratnią krwią zbryzgana!
Lecz wszystkie grzechy w miłosierdziu Pana
Przez miłość będą wszystkim odpuszczone —
Bo miłosierdzie Jego niezgłębione!
Bracie serdeczny! Wszystko, cośmy czuli,
Cośmy cierpieli, to już nam minęło!
Słońce braterstwa przyświecać zaczęło —
Pójdź, niech cię serce to moje utuli

ALFONS (rzucając się w jego objęcia):

O, bracie drogi! — my wspólną pokutę
Przeszliśmy wszyscy! (długi uścisk).

HANIA (do Adama):

To wy, na tę nutę
Zawsze śpiewacie! Wy pieśnią wzruszyli
Oziębłe serca! O, powiedzcie panie,
Gdzieście się waszych piosenek uczyli,
Lub gdzieście takie zasłyszeli granie,
W którem tak serca i łez poznać wiele?!
Powiedzcie przecie miły nasz pieśniarzu!

ADAM.

Granie słyszałem, kiedy ksiądz w kościele
Prefacje śpiewał przy wielkim ołtarzu!
A potem w ciszy jeszcze głośniej grało —
Aż w duszy czułem jakieś dziwne drżenie,
Gdy ksiądz podnosił Chrystusowe Ciało,
Gdy na ołtarzu było podniesienie!!

(Dzwon uderza):

BARTOSZ.

Cicho! dzwon dzwoni!

MACIEJ.

Już dzwon na nas woła —
Czas na procesję!

INNI.

Chodźmy do kościoła!

ANHELLI (uroczyście):

Chodźmy! Bóg-Człowiek z grobu zmartwychwstanie
W czem nie przeszkodzą Mu straże przygrobne —
I wam przyniesie Boże zmiłowanie,
Bo dusze wasze miłością ozdobne
Do miłosierdzia zbliżyły się progu
W błogosławieństwie od Boga i w Bogu!

(Wychodzą).

KURTYNA SPADA.

ODSŁONA VII.

(Scena przedstawia cmentarz, jak w poprzednich odsłonach, podczas podniesienia kurtyny biją dzwony).

SCENA 1.

FRIED, KARMAN i BOREL
(wchodzą szybkim krokiem, każdy z innej strony):

FRIED.

Co się tu dzieje?

KARMAN.

Jak w chwili skonania
Ten dzwon przeklęty jęczy wciąż i jęczy!

FRIED.

Jakiś niepokój okrutny mnie dręczy,
Jakaś mnie trwoga niesłychana zdjęła —
Ja się jej boję!

KARMAN.

Ona nie zginęła
I wiecznie żyje!

FRIED.

Czyż nigdy nie zginie?!
Czyż nie ma na to żadnego sposobu?!

BOREL.

Minął wiek jeden, a choć drugi minie,
Będzie nam zawsze grozić z poza grobu!
Widać jest siła jakaś niespożyta,
Żyjąca nawet w świecie zagrobowym, —
Jest nić uczucia poza grób przewita,
Która się z duchem łączy narodowym,
A której zerwać nie mamy możności!

FRIED.

Straszliwy zawód, gorzki i piekielny!

KARMAN.

Ot, co tu mówić, cały świat śmiertelny
Istnienie swoje ma w nieśmiertelności —
Ona na wszystkiem wyciska swe piętno!

SCENA 2.

FRIED, KARMAN, BOREL i SATANOS.

SATANOS

(wchodzi powolnym krokiem ze zwieszoną głową i załamanemi rękami).

FRIED.

Ha! wasza miłość!
Z oblicza spostrzegam,
Że ty masz duszę, jak sama śmierć, smętną!

SATANOS.

Wszystko stracone! Do kresu dobiegam!
Wszelkie wysiłki, cała nasza praca, —
Wszystko daremne!

KARMAN.

Nasze światło zbladło!

BOREL.

Każda nadzieja w niwecz się obraca!

FRIED.

Wszystko stracone?!

SATANOS.

Stracone! — Przepadło!

SCENA 3.

(Słychać z oddali śpiew ludu)..

Przez Twoje święte zmartwychwstanie
Boży Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie
Tyś nam ten dzień sam wsławił,
Żywoteś nam naprawił,
Śmierci wiecznej nas zbawił,
Twoją świętą moc zjawił.

SATANOS.

Słuchajcie dobrze!
Słyszycie? słyszycie
Tony tej pieśni, co w tysiączne głosy
Na skrzydłach wiary wznoszą się w niebiosy?!

W prawdziwej wierze wieczne tętni życie,
A wiara u nich żywa... niezachwiana!

(Śpiew się powtarza znacznie bliżej. — Satanos wpatruje się w tę stronę, skąd ma wejść procesja — znać na nim ogromne przerażenie. — Na słowa: „Która od wieków“, ukazuje się postać Archanioła, Satanos spostrzega ją po ostatnich swych słowach, poczem następuje jego okrzyk: „Ha!“ — Fried, Karman i Borel na widok Archanioła przerażeni uchodzą).

SCENA 4.

SATANOS i ARCHANIOŁ.

SATANOS.

Ha! I Ty z nimi! Ty wielki i święty!
Wrogu mój straszny, na krzyżu rozpięty!
Tyś mnie zwyciężył!

(Waha się przez chwilę, wreszcie klęka):

Padam na kolana,
Korząc się w prochu, bo korzyć się muszę;
Ale przekleństwo serce moje targa;
Ale bluźnierstwo rozpiera mi duszę!
We mnie jest jedna pełna łez i jęku,
Pełna rozpaczy jedna tylko skarga,
Która od wieków przemija bez dźwięku!
Ja chcę Cię kochać! kochać tak serdecznie,
Jak żaden anioł nie kocha Cię w niebie!
Och, czemuż, czemu z tem pragnieniem wiecznie
Wolno mi tylko nienawidzieć Ciebie?!!
Ja chcę cię kochać!!

Słyszysz to wołanie?!
Ja pragnę światła, a w duszy mej ciemno!
Tyś mnie potępił, — miej litość nademną

Choć chwilę jedną!! (spostrzegłszy Archanioła):
Ha!!

ARCHANIOŁ (wskazując mieczem):

Idź precz szatanie!

(Ziemia pod Szatanem się zapada; pochłaniają go czerwone płomienie, przez chwiię słychać dudnienie staczającego się ciala do przepaści).

SCENA 5.

ADAM, ANHELLI, WIELE LUDU, SZLACHTA i MIESZCZANIE.

ADAM i ANHELLi prowadzą pod baldachimem księdza z Monstrancyą, LUD śpiewa:

Przez Twoje święte zmartwychwstanie
Boży Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie
i t. d.

ANHELLI.

Chrystus zmartwychwstał — pokuta skończona!

ADAM.

Do pracy bracia!

MACIEJ.

Rozgrzebać mogiłę,
Pan Bóg dal wiarę i miłość, i siłę,
I ręce zdrowe! Tam matka! tam Ona,
Żywa, na pomoc swojej dziatwy czeka!

ADAM.

Do pracy, bracia, niech się nie odwleka
Ta wielka chwila!

(Wszyscy rozgrzebują mogiłę, dzwony biją, ksiądz błogosławi, lud śpiewa jak przy wejściu i słychać zdala hejnał z Maryackiej wieży).

BARTOSZ.

Pokuta minęła,
A z nią i wszystkie nasze niepokoje.

SCENA OSTATNIA.

KRÓLOWA (podnosi się z grobu, w ręce sztandar narodowy):

WSZYSCY (wznosząc ręce, klękają z okrzykiem):

O, matko nasza!

KRÓLOWA.

Ach! dzieci, wy moje!

ADAM.

Żyjesz! Ty żyjesz!

ANHELLI.

Żyje! nie zginęła!

Muzyka gra: „Jeszcze Polska nie zginęła“.

KONIEC AKTU CZWARTEGO I OSTATNIEGO

Pisałem w Krakowie, w czerwcu 1901.